PRZYGODY ZOSI

hr. de SÉGUR

i

WESOŁE WAKACJE

Przygody Zosi i Wesołe wakacje

Sophie de Ségur

„Nowe Wydawnictwo”, Warszawa, 1937

Pobrano z Wikiźródeł dnia 22 lutego 2026

H R. D E S É G U R

PRZYGODY ZOSI

I

W E S O Ł E W A K A C J E

zajmujące opowiadania dla panienek

Wolny przekład z francuskiego
JERZEGO ORWICZA

ilustrował Marjan Strojnowski

NAKŁADEM „NOWEGO WYDAWNICTWA”
WARSZAWA — — MARSZAŁKOWSKA 141

Odbito w druk. „Grafia“, Warszawa.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: Sophie de Ségur i tłumacza: Natalia Dzierżkówna.*

HR. DE SÉGUR

PRZYGODY ZOSI

zajmujące opowiadania dla panienek

Wolny przekład z francuskiego
JERZEGO ORWICZA

SPIS ROZDZIAŁÓW:

PRZYGODY ZOSI

str.

Wapno 3
Rybki 6
Czarne kurczątko 13
Pszczółka 18
Zmoczone włosy 24
Brewki obcięte 29
Chleb dla koni 32
Śmietana z gorącym chlebem 38

Herbatka 43
Elżunia 55
Pudełko do roboty 60
Wózeczek 69

Odbito w druk. „Grafia“, Warszawa.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: Sophie de Ségur i tłumacza: Natalia Dzierżkówna.*

WAPNO.

Mała Zosienka nie była posłuszną dziewczynką. Mamusia nie pozwalała jej wybiegać samej na podwórze, gdyż mularze budowali oficynę. Zosia miała wielką ochotę przyglądać się tej robocie i nie mogła zrozumieć dlaczego nie wolno ruszać rozłożonych na ziemi cegieł, nasypywać w wiaderka i patrzeć, jak mieszają coś w wielkiem drewnianem pudle.

— Czemu mamusia nie pozwala mi zostać na podwórku i każe trzymać się blisko siebie, gdy schodzimy razem? — pytała Zosieńka.

— Bo mularze rzucają cegły i kamienie, które mogły by cię zranić, a przytem możesz się wapnem sparzyć.

— Będę bardzo ostrożną — odparła dziewczynka — a zresztą czyż wapno rozsypane, tak samo jak piasek, sparzyć może?

— Jesteś jeszcze mała i nie rozumiesz tego, moje dziecko, powinnaś słuchać mnie i jeśli powiedziałam, żebyś nie biegała po podwórzu w mojej nieobecności, to widocznie są do tego powody.

Zosia spuściła główkę i nic nie odpowiedziała, ale nadąsała się i pomyślała:

— A jednak zejdę na podwórze! Bawi mię to i zejdę!

Niedługo oczekiwała chwili sposobnej do wykonania swego zamiaru. W godzinę niespełna potem przyszedł ogrodnik, prosząc aby matka Zosi zobaczyła sama kwiaty,

które mają być sprzedane do kwiaciarni.

Zosia pozostała, gdy mama wyszła do ogrodu. Rozglądnęła się pośpiesznie czy służącej niema w pobliżu i uchyliwszy drzwi ostrożnie, zbiegła na dół. Mularze nie zauważyli nawet, że Zosia przygląda się ich robocie i że podeszła do rozrobionego wapna, które wydało się jej zupełnie podobne do śmietany.

— Jakie to wapno jest białe i gładkie! mówiła Zosia. Mama nie pozwoliła mi nigdy przyglądnąć mu się zbliska. Sprobuje przejść po nim, jak po lodzie.

Zosia chciała oprzeć nóżkę na tej białej przestrzeni, wyobrażając sobie, że jest twarda jak ziemia, na której stała, ale nóżka zanurzyła się w wapno, druga za nią. Zosia poczęła krzyczeć z przerażenia, co usłyszawszy mularz jeden poskoczył na ratunek i wyciągnął dziewczynkę a postawiwszy na ziemi, zawołał:

— Niech panienka zdejmie prędko trzewiczki i pończoszki, już są zupełnie spalone. Jeżeli pozostaną choć chwilę jeszcze na nogach, to i nóżki mogą się poparzyć.

Zosia spojrzała zdziwiona, gdyż pod wapnem, które trzymało się jeszcze, pończoszki jej były zupełnie zczerniałe jakby z ognia wyjęte, a przytem uczuła lekkie szczypanie skóry, poczęła więc krzyczeć coraz głośniej. Szczęśliwym trafem służąca była w pobliżu i przybiegła zaraz, by dowiedzieć się co zaszło. Natychmiast zdjęła obuwie i pończoszki Zosi, otarła swym fartuchem nóżki, wzięła dziewczynkę na ręce i zaniosła do mieszkania.

W tej chwili właśnie weszła matka i zapytała zdziwiona:

Co to się stało? Dlaczego Zosieńka jest bosa?

Zosia zawstydzona milczała uparcie ale jak służąca opowiedziała jakie nieszczęście mogło się przytrafić, gdyby nie zdjęła odrazu obuwia, nóżki małej wyglądałyby tak samo jak oto mój fartuch, dodała w końcu, pokazując wypalone na nim wapnem dziury.

— Powinnabym dać ci rózgą, zawołała matka, zwracając się do Zosi. Dałaś dowód nieposłuszeństwa i zostałaś słusznie za nie ukaraną, doznając wielkiego strachu, więc już nie zostaniesz obitą, ale musisz teraz dać twoje pięć złotych, uzbierane w skarbonce, żeby odkupić nowy fartuch Marysi. Miałaś za nie zabawić się w Luna-Parku, teraz nic z tego!

Zosia z płaczem rzuciła się mamusi na szyję. Strasznie jej było żal oddać pieniądze uzbierane, ale mama nie chciała ustąpić, fartuch musi być zaraz kupiony i uszyty. Zosia przyrzekła odtąd być zawsze posłuszną i zrozumiała, że przestrogi mamusi mają tylko jej dobro na celu.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: Sophie de Ségur i tłumacza: Natalia Dzierżkówna.*

RYBKI.

Zosia była ogromnie roztrzepana i często przez to zdarzało się jej zrobić coś złego nawet niechcący.

Otóż pewnego dnia było tak:

Mamusia Zosi miała rybki w akwarjum to jest w szklanym pudełku nalanem wodą na dnie którego posypany był piasek. Rybki uwijały się wesoło. Pani Irena sypała im zwykle z rana okruchy bułki. Zosię bawiło bardzo przyglądanie się jak rybki rzucają się łapczywie na jedzenie i wyrywają je sobie nawzajem.

Tatuś darował Zosi szyldkretowy nożyk którym cieszyła się mogąc sama obierać nim jabłka, krajać biszkopty i ścinać kwiaty.

Pewnego razu bona dała Zosi chleba, który dziewczynka porozcinała na drobne kawałki; migdały i listki sałaty także zostały przez nią pokrajane. Następnie Zosia poprosiła, żeby jej dano soli, octu i oliwy, gdyż chce sobie przyrządzić doskonałą potrawę.

— O nie — odpowiedziała panna Julja — dam ci soli, ale ani octu ani oliwy nie dostaniesz, poplamiłabyś sobie sukienkę.

Zosia posoliła obficie swoją sałatkę i została jej jeszcze duża ilość, z której postanowiła zrobić jakiś użytek.

— Wiem już — powiedziała sobie. Posolę rybki mamusi! Kilka z nich rozetnę moim nożykiem. To dopiero będzie potrawa wyśmienita.

I oto niewiele myśląc biegnie do salonu, wyciąga rybki rączkami i kładzie je na talerzu. Rybki, pozbawione wody, rzucały się i podskakiwały. Zosia posypała je solą obficie i znieruchomiały wnet, leżały martwe na talerzu. Kilka z wydobytych rybek Zosia rozcięła na drobne kawałki. Skręcały się widocznie z bólu i Zosia zrozumiała wreszcie, że je zabija w ten okrutny sposób.

Zaczerwieniła się mocno.

— Cóż mamusia na to powie? pomyślała. Co ja poczne nieszczęśliwa, jak się to wyda?

Pozbierała szybko rybki pocięte i osolone i zaniosła je z powrotem do salonu, żeby wrzucić do wody.

— Mamusia będzie myślała, że rybki wojowały z sobą tak zawzięcie i pozagryzały się wzajemnie. Zaraz powycieram talerzyki z soli i nikt nawet nie zauważy co na nich było. Panna Julja, zajęta robotą, nie widziała, że wchodziłam do salonu.

Zasiadła przy swym małym stoliczku i bawiła się zabawkami, następnie wzięła książeczkę do ręki i poczęła przeglądać obrazki, ale ciągle nasłuchiwała czy mamusia nie wraca.

Po chwili zadrżała, usłyszawszy podniesiony głos matki, która przywoływała służbę, coś rozprawiała, wypytywała, widocznie bardzo zagniewana.

Zosia oczekiwała z niepokojem, że mama i ją zaraz przywoła. Panna Julja, zwabiona gwarem, pośpieszyła zaglądnąć do salonu, a powróciwszy ztamtąd, rzekła do Zosi:

— Jakie szczęście, że nie wychodziłyśmy obie z pokoju

podczas nieobecności twojej mamusi. Wyobraź sobie, że ktoś pociął rybki w drobne kawałki! Mama zwołała całą służbę, żeby dowiedzieć się kto to zrobił. Nikt się nie przyznał i widać po ich zdziwionej minie, że są niewinni. Mama zapytywała mnie czy ty nie byłaś przypadkiem w salonie, ale zapewniłam, że bawiłaś się cały czas w dziecinnym pokoju. „To dziwne — powiedziała mama — mogłabym się założyć, że tylko jedna Zosia zdolna do takiej niegodziwej psoty!“ — „O nie! Zosia by nigdy czegoś podobnego nie zrobiła!“ odpowiedziałem z przekonaniem. „Tem lepiej — odrzekła mama — jeżeli pani jest tak dobrego o niej mniemania.”

Zosia słuchała w milczeniu z główką na dół spuszczoną, z oczami pełnemi łez. Miała przez chwilę zamiar wyznać prawdę, ale zabrakło jej odwagi.

Panna Julja, widząc smutek dziewczynki, sądziła, że musi być zmartwiona wypadkiem i żal jej rybek mamusi, więc poczęła ją pocieszać, mówiąc:

— Byłam pewną, że przyjmiesz de serca tę przykrość mamusi; ty też lubiłaś przyglądać się rybkom w akwarjum, ale pomyśl, dziecinko kochana, że one nie były szczęśliwe w swem więzieniu a teraz już nie cierpią wcale. Nie myśl więc o tem i nie trap się. Chodź do mnie, to ci włoski przygładzę abyś była przygotowaną do obiadu, który podadzą za chwilę.

Zosia dała się uczesać i umyć, nie mówiąc ani słowa. Weszła do salonu, w którym była matka.

— Czy ty wiesz, Zosiu, co się stało z mojemi rybkami? Czy panna Julja powiedziała ci o tem? zapytała pani Irena

mierząc córeczkę badawczym wzrokiem.

— Tak, mamusiu, wiem — odpowiedziała Zosia niepewnym głosem.

— Gdyby panna Julja nie zapewniła mnie, żeś nie wychodziła wcale z pokoju, byłabym przekonaną, że to jest twoja robota. Teraz mam tylko podejrzenie na Szymona, gdyż codziennie zmieniał rybkom wodę i piasek. Musiało go to znudzić i postanowił pozbyć się biednych stworzeń. Wobec tego od jutra go wydalam.

— Ach, mamusiu! zawołała Zosia z przerażeniem. Cóż on pocznie z żoną i dziećmi?

— Tem gorzej dla niego. Nie powinien był pastwić się nad mojemi rybkami, które pociął w drobne kawałki.

— Ależ Szymon tego nie zrobił, mamusiu, zaręczam że to nie Szymon... zapewniała Zosia ze łzami w oczach.

— Więc kto? Jak ci się zdaje?

— To ja pozabijałam rybki — szepnęła Zosia płacząc i składając rączki z bolesnym wyrazem, jakby błagając o przebaczenie.

— Zosiu! Co ci się stało! Wszak lubiłaś także moje rybeczki! Czy podobne, abyś je dręczyła bezlitośnie? Nie! Widzę tylko, że chcesz osłonić Szymona i przyjmujesz na siebie jego winę.

— Nie chciałam zabijać je, mamusiu, ale tylko spróbowałam posolić. Nie myślałam, że od soli poginą i że nie można rybek krajać. Nie piszczały nawet wcale. Zobaczywszy jednak że przestały się ruszać, zaniosłam je coprędzej i wrzuciłam do wody. Panna Julja nie zauważyła nawet kiedy się wymknęłam niepostrzeżenie.

Pani Irena stała dość długą chwilę, jakby nie była w stanie przemówić. Zosia podniosła nieśmiało oczki na matkę i spotkała się z jej spojrzeniem, w którem nie było już widać gniewu ale tylko malowało się zdumienie.

— Gdybym dowiedziała się przypadkiem o tem, co mi wyznałaś, ukarałabym ciebie bardzo surowo — powiedziała pani Irena. Ale wobec tego, że miałaś odwagę wyznać całą smutną prawdę, mając na względzie Szymona, który mógł paść ofiarą twego złego czynu, przebaczam tobie, moje dziecko, nie robię nawet wymówek, bo chyba sama po zastanowieniu zrozumiałaś, że każde żyjące stworzenie cierpi gdy je zabijają.

Zosia szlochała żałośnie. Widać było, że głęboko i szczerze żałuje swego nierozważnego czynu.

— Nie płacz, Zosienko — rzekła mama — i nie zapomnij o tem, że przyznaniem się do winy okupić ją można, jeżeli prawdziwie szczerą będzie skrucha.

Zosia z wdzięcznością ucałowała ręce matki, otarła z łez oczki, ale cały dzień była smutną i nieswoja, tak bardzo żałowała biednych, zamęczonych rybeczek, czuła jednak, że to jest żal po niewczasie.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: Sophie de Ségur i tłumacza: Natalia Dzierżkówna.*

Czarne kurczątko.

Zosia chodziła codziennie z mamusią do kurników, w których mieściły się najrozmaitsze gatunki kur, gdyż pani Irena ogromnie lubiła wszelkie ptactwo i starała się je mieć z najlepszych źródeł. Sprowadziła właśnie jajka od kurek czubatych i dowiadywała się wciąż czy już kurczęta się wylęgły.

Zosia wkładała zwykle okruchy chleba do koszyczka, który zabierała z sobą idąc z mamusią do kurników i rzucała kurom te okruchy. Wszystkie kury i koguty zbiegały się wnet na ucztę, znały już Zosię i chodziły za nią, co ją bardzo bawiło.

Najwięcej zajmowały ją tylko co wylęgłe kurczątka, żółte, puszyste, jakby z waty zrobione.

Pewnego dnia, wysypawszy już cały zapas okruszynek i ziarna, Zosia pobiegła za mamusią do kurnika i zobaczyła śliczne czubate kurczątko, które pani Irena wzięła na ręce i zachwycała się niezwykłą jego urodą.

— Ach! jakie ładne! zawołała Zosia. Ma piórka czarne jak u kruka!

— A jaki czubek wspaniały! Zobaczysz, że to będzie niezwykle piękny okaz, zapewniła matka, kładąc ostrożnie kurczątko obok starej kury. Ale stara kura będąc widocznie w złym humorze, dziobnęła ze złością kurczątko w sam czubek głowy i biedactwo spadło z piskiem na ziemię.

Pani Irena podniosła je i położyła znowu obok kury. Tym

razem dostało się jeszcze gorzej małemu kurczątku od zagniewanej kwoki, która kilka razy z rzędu dziobała je ostrym dziobem i odganiała najwyraźniej.

— Co tu zrobić z tem kurczątkiem? rzekła pani Irena. Nie sposób zostawić je pod opieką niedobrej matki, która mogła by je zabić, a przecież warto wychować takie miłe stworzonko.

— Najlepiej będzie, mamusiu, wziąć je do naszego mieszkania, w pokoiku z mojemi zabawkami postawi się duży koszyk; będziemy je karmiły, a gdy wyrośnie, zaniesiemy do kurnika.

— Może i masz słuszność — odparła mamusia — zabierz je w koszyczku pustym do chleba, urządzimy mu naprędce posłanie.

— Ach, spójrz, mamusiu. Z szyjki jego krew płynie.

— To są uderzenia tej wściekłej kwoki, odrzekła pani Irena. Jak tylko wrócimy do domu, trzeba wziąć u panny Julji plasterek angielski i przyłożyć na rance. Zosia była uszczęśliwiona z możności pielęgnowania kurczątka. Karmiła je bułeczką, jajkiem na twardo, chciała upoić mlekiem, ale lepiej mu smakowała zimna woda.

W trzy dni potem ranka zupełnie już się zagoiła. Kurczątko czubate przechadzało się przed gankiem od strony ogrodu. Po miesiącu było już tak duże, że możnaby sądzić, iż ma conajmniej trzy miesiące. Piórka miało czarne, połyskujące, jak gdyby wodą zmoczone. Na czubku głowy piętrzyły się one w różnych kolorach: białe, czarne, pomarańczowe, niebieskie i czerwone. Dziób i łapki były różowej barwy; chód miało dumny, oczy żywe błyszczące.

Trudno było wyobrazić sobie piękniejszego kurczaka.

Zosia podjęła się nad nim opieki. Karmiła go codziennie, pilnowała, gdy się przechadzał przed domem.

Za kilka dni miano go już odesłać do kurnika, gdyż zbyt trudno było upilnować ruchliwe ptaszątko. Zosia nieraz z pół godziny musiała biegać za niem, żeby je zapędzić do domu. Raz o mało się nie utopiło, gdyż wpadło w wielką miskę z wodą, uciekając przed goniącą je Zosią.

Dziewczynka próbowała przywiązać mu wstążkę do łapki, ale tak się poczęło wyrywać miotać na wszystkie strony, że trzeba było dać za wygraną w obawie, iż sobie nóżkę wykręci. Mamusia powiedziała, że należy trzymać kurczę w zamknięciu, gdyż nieraz jastrzębie uwijają się nad ogrodem i mogą łatwo je schwytać.

Zosia nie usłuchała dobrej rady i wciąż wypuszczała ukradkiem kurczątko, coraz bardziej oswojone. Pewnego dnia, wiedząc, że mamusia zajęta jest pisaniem, nieposłuszna dziewczynka przyniosła kurczę i wypuściła przed domem, gdzie zabawiało się łowieniem muszek i wyszukiwaniem robaczków w piasku, lub chodziło, potrząsając czubkiem.

Zosia czesała swą lalkę nieopodal przechadzającego się z powagą kurczaka, na którego spozierała od czasu do czasu, żeby mu nie pozwolić oddalać się zbytnio od domu. Podniósłszy oczy, zauważyła wielkiego ptaka z zakrzywionym dziobem, który unosił się tuż tuż nad kurczęciem. Spozierał na nie z wyrazem żarłocznym. Zosia miała minkę przerażenia, a kurczę jakby zamarło w bezruchu.

— Jaki to szczególny ptak, mówiła do siebie Zosia. Kiedy patrzy na mnie, wydaje się przestraszony, ale na kurczę spogląda jakoś dziwnym wzrokiem. Zabawny jest ten ptak czy mu te kurczątko się podoba czy nie podoba?

W tej chwili ptak krzyknął przenikliwie spuścił się na dół, uchwyciwszy kurczę w swe szpony, uniósł w górę. Kurczątko zapiszczało żałośnie, gdy go jastrząb porywał. — Zosia stała bezradna, patrząc jak wznosi się wysoko.

Nadbiegła mama, pytając co się stało. Zosia odpowiedziała że duży jakiś ptak krążył nad ziemią i nagle porwał kurczątko.

— Nieposłuszeństwo twoje to sprawiło — zawołała pani Irena rozgniewana. Wypuściłaś kurczątko bez mojej wiedzy, jastrząb je schwytał i pożarł. Pójdziesz zaraz do swego pokoiku, tam ci obiad przyniosą, bo nie warta jesteś siedzieć z nami przy stole. Pozostaniesz tam sama aż do wieczora. Może nauczy cię to być posłuszniejszą niż dotąd.

Zosia spuściła oczy i odeszła bardzo zasmucona. Płakała rzewnie pozostawszy samą i prawie nie tknęła obiadu.

Historja z kurczątkiem na zawsze pozostała jej w pamięci i coraz więcej upewniała się w tem, że mamusia dobrze doradza, a nieposłuszeństwo zwykle bardzo złe skutki pociąga za sobą.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autora: [Sophie de Ségur](#) i tłumacza: [Natalia Dzierżkówna](#).*

P S Z C Z Ó Ł K A.

Zosia bawiła się ze swym ciotecznym braciszkiem, Pawełkiem; zajęci byli łapaniem much na oknie w dziecinnym pokoju i wkładaniem ich do pudełka. Nałapawszy dużą ilość, chcieli przekonać się co muszki robią w zamknięciu. Otworzywszy ostrożnie pokrywkę, Pawełek popatrzył w szparkę i zawołał:

— Ach jakie to śmieszne! Jak one się ruszają i biją się z sobą! Niektóre padają, inne poduszą się...

— Pozwól mi zobaczyć — prosiła Zosieńka — ale Pawełek nie wypuszczał pudełka z ręki i opowiadał w dalszym ciągu, co się dzieje wewnątrz.

Zosia, zniecierpliwiona, poczęła ciągnąć pudełko w swoją stronę.

Pawełek opierał się i mocno przytrzymywał w ręku więzienie biednych muszek. Zosia szarpnęła je z całej siły aż upadło na ziemię i wszystkie muchy wyleciały, siadając na noskach, na oczkach, na policzkach dzieci, które krzyczały, broniły się i dawały sobie klapsy nawzajem, niby bijąc natrętne muchy.

— To twoja wina, Pawełku — mówiła Zosieńka — gdybyś był uprzejmniejszy i pozwolił mi wziąć pudełko do ręki, nie potrzebowałabym je wydzierać i muchy nie wyleciałyby, a teraz kiedy my je znowu złapiemy.

— Nie, to głównie twoja niecierpliwość sprawiła, że pudełko się otworzyło znienacka — odpowiedział Pawełek

nadąsany — podglądałem bardzo ostrożnie i byłbym tobie oddał za chwilę.

— Jesteś samolub wstrętny! zawołała Zosia zagniewana.

— A ty jesteś złośnica, jak te indyki na folwarku! odciął się Pawełek.

— Wcale nie jestem złośnicą, ale uważam, że ty masz niedobre serce. Nie chcę więcej bawić się z tobą.

— Ja tak samo. Wolę być sam, niż z taką niegrzeczną dziewczynką.

Dzieci zamilkły i bawiły się każde z osobna. Zosia znudziła się prędko, ale starała się okazać, że jest jej bardzo wesoło. Podśpiewywała sobie i łapała muchy, ale nie udawało się jej, gdyż było ich już niewiele i stały się ostrożniejsze, nie dając się tak łatwo łapać, jak przedtem.

Nagle ujrzała dużą pszczołę, która siedziała spokojnie w kąciku na szybie.

Zosia wiedziała, że pszczoły gryzą, więc nie odważyła się wziąć ją paluszkami, ale wyciągnęła chusteczkę z kieszonki, nakryła nią pszczółkę i w ten sposób udało się jej mieć w ręku brzęczący owad.

Pawełek, który też znudził się nie mając towarzyszki do zabawy, zagadnął Zosię.

— Co myślisz zrobić z tą pszczołą?

— Nic to nie powinno ciebie obchodzić — odparła Zosia niechętnie — zrobię, co mi się będzie podobało.

— Przepraszam mocno pannę gniewalkę, że ośmieliłem się do niej przemówić i zapomniałem, iż jest ona źle wychowaną i złości się o byle co.

— Powiem mamusi, że nazwałeś mnie źle wychowaną

— odrzekła Zosia z szyderczym uśmiechem — nie wiem czy jej będzie przyjemnie dowiedzieć się, że mnie źle wychowuje.

Pawełek skrzywił się. Przeraziła go myśl, co powie ciocia Irena, jeżeli jej Zosia wypaple po swojemu i przekręci być może jego słowa.

— Nie, Zosieńko, nic nie mów mamie, może mnie strofować za niewłaściwe wyrażenie — rzekł pośpiesznie.

— Właśnie dla tego powiem — upierała się Zosia. Będę bardzo zadowolona, jeśli dostaniesz burę.

— Niedobra jesteś! Nie odezwę się już do ciebie wcale.

To rzekłszy, odwrócił krzesło, żeby nie widzieć Zosi, która była uszczęśliwiona strapieniem Pawełka i znowu zajęła się pszczołą. Podniosła ostrożnie rożek chustki, ścisnęła w paluszkach trzepoczący się owad i wyciągnęła z kieszonki swój nożyk.

— Utnę jej głowę — rzekła, patrząc na pszczółkę, ukarzę ją za wszystkie ukąszenia.

Istotnie przykrytą chusteczką pszczołę położyła na ziemi, zdjęła głowę, a następnie przecięła ją w połowie i zajęła się obrywaniem skrzydełek i nóżek.

Nie zauważyła nawet, że weszła pani Irena i pochwyciwszy Zosię znienacka na okrutnej zabawie, pokręciła ją mocno za ucho.

— Jesteś niegodziwą dziewczyną, zawołała matka z oburzeniem. Znowu dręczysz stworzenia, chociaż po zamęczeniu moich rybek myślałam, że się poprawisz, jak przyrzekłaś.

— Ach, mamusiu, zapomniałam zupełnie — odrzekła

Zosia zmieszana.

— Zapamiętasz to sobie dobrze, bo przedewszystkiem odbiorę ci nożyk i oddam nie wcześniej, niż za rok: następnie będziesz nosiła tę pociętą pszczołę na szyi, dopóki się w proch nie rozsypie.

To rzekłszy, pani Irena kazała przynieść czarną aksamitkę i poprzyszywała kawałki przeciętego owadu, poczem zawiązała opaskę na szyi córki.

Pawełek nie śmiał odezwać się ani jednem słowem, a gdy zostali sami i Zosia szlochała z powodu czarnego naszyjnika, starał się ją pocieszać, ucałował serdecznie, przepraszając, że podrwiwał z niej, zapewniał przytem, że skrzydełka pszczoły, przyszyte na aksamitkę, robią wrażenie jakichś drogocennych kamieni. Zosia podziękowała braciszkowi za okazywane jej współczucie i życzliwość, nie mogła jednak uspokoić się gdyż myśl o pszczole, noszonej na widocznem miejscu, nie dawała jej spokoju. Przez cały tydzień trapiła się tem mocno, wreszcie Pawełek wpadł na pomysł poodrywania resztek, które się jeszcze na wstążce trzymały i pobiegł uprzedzić ciotkę o tem, że już pokuta Zosi dostatecznie długo trwała, więc może pozwoli jej zdjąć ową nieszczęsną czarną przepaskę, przypominającą ustawicznie o popełnionej winie.

Pani Irena uległa prośbom siostrzeńca i zwolniła Zosię z wyznaczonej kary, pod warunkiem, że już żadnych stworzeń dręczyć nie będzie.

Zosia poprawiła się zupełnie i nikt nie zauważył już nigdy okrucieństwa w dziewczynie, gdyż zamęczone rybki i

pszczoła przypominały się jej natychmiast, jeśli ją brała ochota zabawić się kosztem niewinnych istot.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: Sophie de Ségur i tłumacza: Natalia Dzierżkówna.*

Zmoczone włosy.

Zosia bardzo dbała o swój zewnętrzny wygląd. Lubiła być ładnie ubraną i słuchać oddawanych jej pochwał.

Nie można było nazwać ją piękną, gdyż miała twarzyczkę pucułowatą, rozjaśnioną zazwyczaj wesołym uśmiechem, nosek zadarty, usta szerokie, gotowe śmiać się na zawołanie. Włoski jasne, przycięte miała równo, jak u chłopców, oczy duże, szare, filuterne sprawiały na wszystkich miłe wrażenie.

Pomimo, że Zosia przywiązywała wielką wartość do stroju, nie nosiła nigdy kosztownych sukienek, gdyż matka chciała w niej poskromić zawczasu zamiłowanie do zbytku. Ubierano ją w skromne białe sukienki, wycięte pod szyją z krótkiemi rękawami, pończoszki grube i czarne trzewiczki zimą i latem stanowiły codzienny strój Zosi. Nigdy nie kupowała jej mamusia rękawiczek, ani też kapelusza, uważając, że słońce doskonale wpływa na zdrowie i że dzieci nie powinny się obawiać deszczu, wiatru, ani zimna.

Pragnieniem Zosi było mieć włosy ufryzowane. Słyszała, jak któraś ze znajomych mamy chwaliła jedną z jej małych przyjaciółek, mającej jasne pukle na głowie. Od tego czasu ciągle prosiła pannę Julję, żeby zapiekła jej włosy żelazkiem, ale bona nie mogła postąpić wbrew woli pani Ireny, która stanowczo sprzeciwiła się temu.

Pewnego popołudnia padał deszcz gwałtowny, a że przytem było bardzo duszno, zostawiono drzwi i okna

otwarte. Mama nie pozwoliła Zosi wyjść do ogrodu, ale dziewczynkę bawiły gęste krople deszczu spadające na ganek, wyciągnęła najprzód rączkę, następnie szyjkę i kilka dużych kropli spadło jej na głowę.

Tuż obok ganku stała rynna, z której woda lała się bystrym strumieniem. Zosia przypomniała sobie, że jej przyjaciółce, Kamilce, włosy fryzowały się z natury i właśnie po zmoczeniu wodą układały się same w pukle.

— Gdyby tak spróbować zmoczyć swoje włosy wodą deszczową, być może tak samo by się zwinęły w loki, jak Kamilce — pomyślała Zosia i co prędzej wybiegła sprobować, jak główka będzie wyglądać po deszczowej kąpieli. W jednej chwili przemokła do nitki. Nie tylko włosy, ale kark, plecy, sukienka były mokre i woda spływała z nich na ziemię. Zosia wbiegła do salonu, zaczęła chusteczką wycierać mocno włosy przed lustrem, chciała wpaść do swego pokoiku po drugą chusteczkę, ale naraz spotkała się w drzwiach oko w oko z mamusią. Stanęła wystraszona, a miała minkę tak zabawną z włosami zwichrzonemi, ociekające wodą, że pani Irena wybuchnęła śmiechem.

— Miałaś pomysł nielada, moja panno! — rzekła wkońcu do zawstydzonej Zosi. Wyglądasz jak nieboskie stworzenie! Zabroniłam ci wychodzić z pokoju podczas ulewy, nieposłuchałaś, twoim zwyczajem. Teraz za karę zasiądziesz, tak, jak jesteś, do obiadu, niech tatuś i Pawełek zobaczą cię z temi potarganemi włosami, w mokrej sukience, niech dowiedzą się jakie mądre pomysły przychodzą ci do głowy. Masz oto moją chustkę, którą

wytrzesz sobie twarz, szyję i ręce.

Właśnie gdy pani Irena mówiła te słowa wszedł jej mąż i Pawełek. Obaj spojrzeli zdumieni na Zosieńkę i wybuchnęli śmiechem. Zarumieniona, z głową spuszczoną, z włosami sterczącemi, jak wiechy, wyglądała istotnie zmienioną do niepoznania.

— Co to za dziwne zjawisko? zapytał tatuś.

— Domyślam się już o co Zosi chodziło — odrzekła mamusia. Postanowiła sobie mieć włosy kręcące się, jak u Kamilci, a że Kamilce moczą włosy, żeby się zawijały, Zosia myślała pewno, że z jej całkiem będzie tak samo.

— Tak bywa z temi, które chcą się podobać i upiększać, a stają się przez to wstrętne — rzekł tatuś Zosi, spoglądając na jej nieszczęsną minę.

— Idźże zaraz, Zosieńko, uczesać się i zmienić sukienkę — zawołał Pawełek. Gdybyś wiedziała jak śmiesznie wyglądasz, to byś ani chwilę nie pozostała tu z nami.

— Właśnie nie pozwoliłam jej wrócić do pokoiku i przebrać się do obiadu — odparła pani Irena — musi pozostać w tym dziwacznym stroju i nie uczesana.

— Ależ ciotuchno, przebacz Zosieńce, prosił Pawełek — biedna ona: Nie mogę patrzeć, jak strasznie wygląda.

— Ja też przyłączam się do prośby Pawełka — rzekł ojciec. Jeżeli się to jeszcze raz powtórzy, będę też za ukaraniem naszej córuchny, ale tymrazem daruj jej Ireno.

— Nie powtórzy się tatusiu, bądź pewien że się nigdy nie powtórzy! zapewniała Zosia, płacząc rzewnie.

— Żeby dogodzić tatusiowi, pozwalam ci Zosiu pójść do umywalni i nałożyć czystą sukienkę, ale z warunkiem, że

nie zasiądziesz już z nami do obiadu, a powrócisz dopiero, gdy już wstaniemy od stołu.

— Ależ cioteczko... próbował jeszcze Pawełek wstawić się za siostrzyczkę.

— Nie, mój drogi, musi tak być jak powiedziałam. Idź, Zosiu, jak będziesz już umyta i uczesana, przyniosą ci obiad do dziecinnego pokoju.

Pawełek przyszedł do Zosi po obiedzie i zabrał ją do saloniku, w którym rozstawione były zabawki.

Od tego czasu Zosia nigdy już nie próbowała deszczowej kąpieli i przestała myśleć o fryzowaniu włosów.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: Sophie de Ségur i tłumacza: Natalia Dzierżkówna.*

Brewki obcięte.

Jeszcze jednem gorącem pragnieniem Zosi było mieć gęste brewki, gdyż miała bardzo jasne i mało się odznaczały. Słyszała jak mówiono, iż trzeba często obcinać włosy, żeby zgęstwiały.

Zupełnie brzydkie są moje brewki! zauważyła pewnego razu, przyglądając się sobie w lustrze. Jeżeli włosy obcięte rosną lepiej, to taksamo i brwi wyrosną gęściejsze jeżeli je trochę podetnę.

Nie wiele myśląc, schwyciła nożyczki ze stołu i obcięła brwi aż do samej skóry. Zauważyła następnie, że jakoś śmiesznie teraz wygląda i nie miała odwagi wejść do salonu.

— Poczekam aż zawołają nas na obiad. Nikt nie będzie mi się przyglądał podczas jedzenia — powiedziała sobie i ociągała się z zejściem na dół, chociaż już wszyscy zasiedli do stołu.

Zauważywszy jej nieobecność, matka posłała Pawełka, aby zaraz sprowadził Zosię.

— Już idę, już idę! zawołała Zosieńka, słysząc jego kroki.

Odwracała główkę, gdy schodzili razem ze schodów, żeby Pawełek nie spostrzegł zaszłej w jej twarzy zmiany. Szybko otworzyła drzwi jadalni. Na jej widok wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem.

— Jak ona zabawnie wygląda! zawołał ojciec Zosi.

— Ucięła sobie brwi. Widziane to rzeczy! powiedziała pani Irena, wzruszając ramionami.

— Ach prawda! Nie zauważyłem odrazu, rzekł Pawełek.

— Nigdy nie przypuszczałem, aby twarz bez brwi tak zupełnie inaczej wyglądała! zrobił uwagę wujaszek Zosi, a tatuś Pawełka.

Zosia stała z rączkami opuszczonemi w fałdy sukienki. Nie wiedziała gdzie oczy podziać, tak jej było wstyd, że się jej przyglądano z drwiącym uśmiechem. Była prawie rada, gdy mamusia kazała jej wrócić do swego pokoiku, chociaż powiedziała to ostrym tonem.

— Robisz same głupstwa! Wyjdź stąd zaraz. Niech ciebie cały wieczór nie widzę.

Panna Julja również roześmiała się na widok Zosieńki, czerwonej jak burak, z obciętemi brwiami. Kto tylko ją zobaczył, zaśmiewał się i nie mógł wyjść z podziwienia.

— Panienka zupełnie nie podobna do siebie — mówiły służące. Trzeba by węglem porysować brewki.

Pewnego dnia Pawełek przyniósł małą paczkę, starannie zawiniętą i zapieczętowaną.

— Oto prezencik dla ciebie od tatusia, zawołał oddając Zosi pakiecik.

— Co to jest? zapytała dziewczyna ciekawie.

Wkrótce przekonała się co zawierało starannie owinięte pudełeczko. Oto czarne, szerokie brwi do naklejenia.

Pawełek roześmiał się na całe gardło, a rozgniewana Zosieńka rzuciła mu w twarz ten złośliwy podarunek.

Prawie pół roku minęło zanim brewki Zosi odrosły, ale nie stały się gęściejsze, niż były przedtem. Zosia, gorzkiem doświadczeniem nauczona, nie miała już ochoty ponawiać próby.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: Sophie de Ségur i tłumacza: Natalia Dzierżkówna.*

Chleb dla koni.

Zosia była łakomą. Mama mówiła zawsze, że jeść zadużo zdrowiu szkodzi i nie pozwalała dawać dzieciom żadnych przysmaków pomiędzy obiadem i kolacją, ale Zosia, będąc głodną, chwytała wszystko, co tylko udało się jej złapać do zjedzenia.

Pani Irena chodziła codziennie po śniadaniu do stajni dawać chleb i sól koniom, których mąż jej miał kilkanaście. Zosia niosła za mamusią koszyk pełen razowego chleba. Każdy koń dostawał jeden kawałek. Mamusia nie pozwalała Zosieńce jadać czarnego, często źle upieczonego chleba, gdyż jak mówiła, może szkodzić na żołądek. Po

odwiedzeniu dużych koni zwracano się do małych, tak zwanych z angielska poney. Były to śliczne koniki: Jeden z nich kary został przez tatusia darowany Zosi i temu sama dawała chlebek. Często odgryzała kawałek, a resztę dostawał ulubieniec. Pewnego dnia miała straszną chętkę zjedzenia smacznego razowca, wzięła więc kromkę w rączkę w ten sposób, żeby tylko trochę wystawała.

— Konik uchwyci ten kawałek z końca, a mnie reszta pozostanie — powiedziała sobie łakoma dziewczynka, ale nie udało się oszukać karego, który łapczywie schwycił chleb podany, ale zarazem ugryzł paluszek Zosi. Nie

Chodźmy zobaczyć, czy robota Jakóbka posunęła się — rzekła Madzia.

krzyknęła, żeby nie zwrócić uwagi mamusi, ale ostry ból zmusił ją do wypuszczenia z ręki całej kromki, z czego skorzystał konik i pożarł ją łapczywie. Krew z palca płynęła obficie. Zosia owinęła rękę chusteczką, co zatrzymało nieco upływ krwi, ale niemniej chusteczka cała była

zaczerwieniona, trzeba było schować ją wraz z rączką pod fartuszek i mamusia na razie nie zauważyła co się stało. Przy obiedzie jednak spostrzegła, że z paluszka Zosi krew kroplami na obrus spływa i zapytała z żywością:

— Co to masz na palcu? Czem się skaleczyłaś?

— Mój konik mnie ugryzł w palec — odrzekła Zosia nieśmiało.

— Czy podobna? Ten konik łagodny, jak baranek? Nie mogę sobie tego wyobrazić! odrzuciła pani Irena z niedowierzaniem.

— Podawałam mu chleb, a on pochwycił mnie za palce — objaśniała Zosia.

— Mówiłam tobie, że należy kłaść kromkę na dłoni, czyś zapomniała już o tem.

— Tak, mamusiu, trzymałam chleb mocno w palcach.

— Ponieważ jesteś niemądre i nieposłuszne dziecko, nie będziesz już odtąd karmiła chlebem swego konika — rzekła mama.

Zosia nie odpowiedziała ani słowa, ale cieszyła się, że mamusia nie zabroniła jej chodzić do stajni i nosić koszyk z chlebem dla innych koni.

— Zawsze będzie można coś złasować pomyślała niepoprawna dziewczynka.

Nazajutrz idąc z mamusią do koni i podając jej kromki przygotowane, ściągnęła jedną z nich do kieszonki i zajadała ukradkiem, gdy mama była do niej odwrócona. Nie zbliżając się do ostatniego konia pani Irena nie miała już nic do dania ślicznemu stworzeniu, które wyciągało ku niej szyję, napróżno oczekując swej porcji i niecierpliwie

grzebało nóżką.

— Cóż to? Zabrakło jednej kromki chleba zapytała z wymówką w głosie.

Wzrok jej spoczął na Zosi, która miała pełne usta i starała się pośpiesznie przełknąć ostatni kąsek.

— Ach, co za przebrzydły łakomczuch z ciebie! — zawołała pani Irena oburzona — kradniesz chleb moim ulubionym koniom, popełniasz przytem nieposłuszeństwo, wszak tyle razy mówiłam tobie, że nie wolno ci jeść tego ciężkiego chleba. Nigdy już nie pójdziesz ze mną do stajni a na obiad dostaniesz w swoim pokoju tylko kromeczkę chleba i chlebową zupkę.

Zosia spuściła smutnie główkę i poszła wolnym krokiem do domu.

Panna Julja, która bardzo polubiła swą małą wychowankę, zauważyła odrazu, że ma ogromnie strapioną minę.

— Cóżeś tam nowego zbroiła? zapytała Zosieńkę.

— Zjadłam kromkę chleba razowego, przeznaczonego dla konia — odrzekła ze łzami w oczach. Tak bardzo mi ten chleb smakuje! Koszyk był pełny, myślałam, że mamusia nie zauważy braku jednej kromki! Za to, że nie wystarczyło chleba dla ostatniego konia, mamusia mi nie pozwoliła zejść do obiadu. Dostanę tylko zupkę chlebową.

To mówiąc Zosieńka rozpłakała się nad swym losem, a zacna panna Julja, nie czyniąc już ze swej strony żadnych wymówek, spojrzała na nią ze współczuciem i westchnęła głęboko. Miała bardzo dobre serce i wydawało się jej zawsze, że pani Irena zbyt srogo postępuje nieraz z Zosią,

starała się więc według swojej możności pocieszać ją i łagodzić kary. Gdy lokaj przyniósł na tacy zupkę chlebową, suchy kawałek chleba i szklankę wody, panna Julja zaraz po jego odejściu otworzyła szafę, wyjęła z niej duży serek i słój konfitur, a zwracając się do Zosi rzekła:

— Jedz dziecinko najprzód serek z chlebem a potem dostaniesz konfitury.

Widząc, że Zosia się waha, chociaż jej oczki już się radośnie śmieją — dodała jeszcze:

— Mama przysłała ci tylko chlebek, ale nie zabroniła ci coś na nim położyć.

— A jeżeli mamusia mnie zapyta, czy nic więcej prócz chleba nie dostałam na obiad, w takim razie muszę powiedzieć prawdę.

— Natenczas już sama wytłumaczę mamusi, że dałam ci sera i konfitur, bo sam chleb mógłby zaszkodzić na pusty żołądek, więc nie obawiaj się za to kary.

Nie dobrze zrobiła panna Julja doradzając Zosieńce jeść przysmaki bez wiedzy mamusi, ale dziewczynka nie zastanawiała się nad tem i nosiła się z apetytem na ser, który bardzo lubiła, jak również cieszyła się z możności zjedzenia konfitur. Pomimo to czuła się upokorzoną, dowiedzą się wszyscy domowi o jej łakomstwie i nieposłuszeństwie i że już nie będzie więcej karmiła swego kucyka. Pocieszała ją tylko nadzieja, że panna Julja zawsze potrafi znaleść sposób, żeby swą pieszczoszkę od kary uchronić, a w najgorszym razie przynajmniej tę karę

osłodzić!

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autora: [Sophie de Ségur](#) i tłumacza: [Natalia Dzierżkówna](#).*

Śmietana z gorącym chlebem.

Łakomstwo było jedną z głównych wad Zosi i trudno jej się było z tego poprawić. Pewnego dnia wiedząc, że mleczarka przyniesie coś smacznego dla panny Julji, zjadła pośpiesznie śniadanie i pobiegła do jej pokoju skarżąc się, że jest strasznie głodna.

— Dobrze się składa — zawołała panna Julja z radosnym uśmiechem — dostałam właśnie garnek śmietany i chleb razowy tylko co upieczony. Dam ci zaraz, zobaczysz jak będzie smakował.

To mówiąc postawiła na stole garnek gęstej, doskonałej śmietany i rozkroiła bochen wiejskiego chleba. Zosia rzuciła się na te ulubione przysmaki, ale w chwili właśnie, gdy pana Julja czyniła jej uwagę, aby się zbytnio nie obiadała, dał się słyszeć głos pani Ireny, wołającej panną Julję do siebie. Chodziło o zaczęcie jakiej robótki dla Zosi.

— Zosieńka wkrótce skończy cztery lata — rzekła mamusia — trzeba żeby już przyuczała się do ręcznej roboty.

— Ale jakąż robotę może robić, takie maleństwo? zapytała panna Julja z uśmiechem.

— Niech pani przygotuje jej serwetkę albo chusteczkę do obrąbienia.

Panna Julja, wróciwszy do swego pokoju przeraziła się, widząc Zosię wyjadającą śmietanę z garnka z ogromnym kawałkiem ciepłego jeszcze chleba.

— Mój Boże! Rozchorujesz się zjadłszy tak dużo! zawołała, nie mogąc wyjść z podziwu, że mała dziewczynka zdołała z taką łapczywością wypróżnić garnek śmietany prawie do dna. Co powie mama? Będzie się gniewała na mnie i ciebie ukarze!

— Niech się pani nie boi — odpowiedziała Zosia z dobrą miną — wcale nie zachoruję. Ach! strasznie lubię śmietanę i chleb prosto z pieca.

— To są rzeczy smaczne ale ciężkie i niezdrowe, zwłaszcza dla małych dzieci — mówiła panna Julja zatroskana. Co to będzie po tym chlebku gorącym!..

— Nic złego się nie stanie, moja droga panno Julciu, zaręczam, że czuję się doskonale — zapewniała Zosia, ściskając swą kochaną wychowanicę, która przygotowała małą chusteczkę, założywszy obrębek i kazała Zosi pójść do salonu. Tam mamusia pracowała nad jakąś robótką i posadziwszy Zosieńkę przy sobie, nauczyła ją jak się igłę zawleka, jak się chusteczkę podrębia. Pierwsze ściegi były krzywe i zbyt duże, ale po kilku minutach Zosia zrozumiała o co chodzi i uważała, że szycie jest bardzo przyjemną zabawą.

— Czy mogę, mamusiu, pokazać pannie Julji moją robotę? zapytała skończywszy obrąbek z dwu stron.

— Możesz, moje dziecko, ale zaraz powróć tu poskładać nici, nożyczki i chusteczkę niedokończoną do koszyczka, potem będziesz bawić się w moim pokoju.

Zosia popędziła, jak strzała, do panny Julji, która zdziwiła się pojętnością dziewczynki i pochwaliła jej szycie.

— Czy dobrze się czujesz, moja Zosieńko? Czy nie boli cię brzuszek? dopytywała z niepokojem.

— Nic mię nie boli, czuję się doskonale i wcale mi się jeść nie chce — odrzekła Zosia.

— Ja myślę, po tem wszystkiem coś tu zjadła u mnie — zaśmiała się panna Julja. Wracajże teraz prędko do mamusi, żeby się nie gniewała.

Zosia pobiegła do salonu, złożyła rzeczy, tak jak mamusia kazała i zaczęła bawić się zabawkami, ale nagle uczuła ciężar w żołądku, główka też bolała. Dziewczynka usiadła na małym stołeczku, oczki zmrużyła, straciła ochotę do rozstawiania swoich drewnianych naczyń kuchennych i zachowywała się tak cichutko, że pani Irena obejrzała się i zauważywszy bladość Zosi zapytała pośpiesznie:

— Co tobie jest? Może jesteś chora?

— Nie, mamusiu, tylko mnie troszkę główka boli?

— Od kiedy?

— Jak tylko złożyłam robotę.

— Może coś zjadłaś, Zosiu.

Zosia zawahała się z odpowiedzią, ale po chwili szepnęła cichutko.

— Nie, mamusiu, nic nie jadłam.

— Widzę po twojej twarzy, że powiedziałaś nieprawdę — oburzyła się matka — pójdę zaraz zapytać pannę Julję i dowiem się co jadłaś.

Serduszko Zosi biło mocno na myśl, że się jej kłamstwo zaraz wykryje. Pani Irena powróciła bardzo rozgniewana i rzekła:

— Skłamałaś, żeś nic nie jadła! Panna Julja przyznała

się, że nakarmiła cię śmietaną i gorącym chlebem, który połykałaś łapczywie. Tem gorzej dla ciebie. Będziesz chora z przejedzenia i nie pojedziesz jutro z nami na obiad do rodziców Pawełka. Mają tam być także Kamilka i Madzia, które tak lubisz, Pawełkowi będzie przykro, że zamiast biegać z nimi po lesie i szukać poziomek, będziesz sama w domu i dostaniesz tylko kaszkę na wodzie.

To mówiąc, pani Irena wzięła rączkę Zosi i zauważyła, że była rozpalona. Kazała więc zaraz rozebrać się i położyć do łóżeczka.

— Zabraniam dawać cokolwiek bądź Zosi, przez cały dzień musi być na dyecie, powiedziała pannie Julji. O ile jeszcze raz powtórzy się podobna historja z okarmieniem dziecka bez mojej wiedzy, będzie pani zmuszona natychmiast nasz dom opuścić.

Panna Julja czuła się winną, więc słuchała w milczeniu pogróżki wydalenia jej z posady. Żałowała ogromnie Zosi, która istotnie była chora i leżała cichutko w łóżeczku. Miała noc niespokojną, gorączkowała i dopiero nad ranem usnęła. Obudziwszy się, czuła jeszcze zawrót głowy, ale świeże powietrze orzeźwiło ją i powoli niedomaganie przeszło, dzień jednak był smutny, gdyż rodzice nie wzięli jej z sobą, jadąc na obiad proszony.

Dwa tygodnie trwały skutki żarłoctwa Zosieńki. Od tego czasu nabrała takiego wstrętu do śmietany i razowego chleba, że już nigdy do ust wziąć nie chciała. Nie słuchała też rad panny Julji, która była dla niej zanadto słaba i pozwalała czasem nie posłuchać mamy, to też pani Irena

rozstała się z nią wkrótce i wzięła osobę bardzo łagodną ale stanowczą, która nie dopuszczała, aby Zosia uczyniła cokolwiekbądź wbrew woli matki.

---

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: [Sophie de Ségur](#) i tłumacza: [Natalia Dzierżkówna](#).*

HERBATKA.

W dniu imienin Zosieńki mamusia robiła zwykle jakiś ładny prezent swojej córeczce, ale nigdy nie mówiła naprzód co dla niej przeznacza.

Tym razem Zosia zerwała się wcześniej niż zazwyczaj, ubrała się pośpiesznie, aby zaglądnąć do pokoju mamusi i zobaczyć co dostanie.

— Poczekaj, dziecinko, muszę cię uczesać, nie możesz pokazać się mamie z tą rozwichrzoną czuprynką. Ładnie byś rozpoczęła swój piąty roczek!

Tak przemawiała nowa bona, sadzając dziewczynkę przed lustrem i rozczesując jej splątane włosy.

— Aj! Aj! proszę mi nie wyrywać włosów! wołała Zosia niecierpliwie.

— Bo kręcisz się na wszystkie strony! Zkąd mogę wiedzieć, gdzie zwrócisz głowę.

Wreszcie Zosia została ubrana, uczesana i mogła pokazać się mamie.

— Wcześnie dziś wstałaś, Zosieńko, rzekła mamusia z uśmiechem. Oto masz podarek odemnie na urodziny. Daję ci książeczkę, będziesz się mogła zabawić.

Zosia podziękowała z minką trochę zakłopotaną. Książka była oprawna w safian czerwony.

— Co mam zrobić z tą książeczką? Przecież czytać jeszcze nie umiem. Pani Irena patrzyła na córeczkę z tłumionym śmiechem.

— Nie bardzo, zdaje się, jesteś zadowolona z mego podarunku — rzekła po chwili, a jednak jest on bardzo ładny. Zobaczysz, że zabawi cię więcej niż się tobie zdaje. Otwórz i popatrz dobrze.

Zosia obracała w rączce ową książeczkę i zdziwiła się mocno, że coś w niej ruszało się i stukało. Spojrzała na matkę pytającym wzrokiem. Pani Irena roześmiała się i rzekła:

— To jest niezwykła książeczka, niepodobną do wszystkich innych, które otwierają się same. Twoją trzeba pociągnąć mocno z boku, ot, tak.

To mówiąc, nacisnęła dużym palcem niewidoczny prawie guziczek i otworzył się wnet wierzch pudełka z farbami ku wielkiej radości Zosieńki. Były tam przeróżne kolory, przytem pędzelki i dwanaście zeszycików z obrazkami do kolorowania.

— O! dziękuję mamusi. Jakże mi się te farby podobają! zawołała Zosia, rzucając się matce na szyję.

— Byłaś z początku nieprzyjemnie zdziwiona, sądząc, że daję ci prawdziwą książkę — mówiła mamusia — ale bym ci takiego złośliwego figla nie spłatała, wiedząc, że nie masz nawet pojęcia o literkach. Będziesz mogła kolorować te rysunki według wzorów, zabawicie się w malowanie razem z Pawełkiem i twojemi przyjaciółkami, Kamilką i Madzią, które zaprosiłam na dzisiaj. Ciocia Aurelcia poleciła mi wręczyć tobie w jej imieniu ten mały przybór do herbaty gdyż przyjedzie dopiero o trzeciej popołudniu, a chciała ci zrobić przyjemność już od samego rana.

To mówiąc, mama wydostała tekturowe pudełko, z

którego Zosieńka wydostała uradowana tackę, sześć filiżanek, imbryczek, mlecznik i cukierniczkę.

— Niech mamusia pozwoli mi zrobić prawdziwą herbatkę dla moich małych gości, prosiła Zosia przymilnie.

— Nie, dziecinko, za nic na to nie pozwolę. Porozlewałabyś śmietankę na posadzkę, poparzyłabyś sobie rączki herbatą. Udawajcie tylko, że pijecie z tych filiżanek, to będzie też dobra zabawa, a potem podadzą wam prawdziwy podwieczorek i różne przysmaczki.

Zosia nic nie odpowiedziała, ale miała minkę niezadowoloną.

— Pocóż mi ten cały przybór, jeżeli nie można go niczem napełnić? pomyślała Zosia. Kamilka i Madzia będą się ze mnie śmiały. Muszę jednak coś obmyśleć, żeby urządzić własne przyjęcie. Pójdę do swojej bony, może ona co poradzi.

Zosia powiedziała mamie, że pokaże pannie Marji, swojej bonie, otrzymane podarunki i zabrawszy je z sobą, popędziła na górę.

Panna Maria zachwycona była ślicznym przyborem do herbaty, ale ze zdziwieniem spojrzała na książkę.

— Będziesz miała z niej zabawę dopiero wtedy, gdy nauczysz się czytać, moja Zosieńko — rzekła po chwili. Zosia roześmiała się głośno i zawołała klaszcząc w rączki:

— Brawo! Doskonale! Pani się też oszukała, tak samo jak ja! To nie jest wcale książka do czytania, a pudełko z farbami.

To rzekłszy, otworzyła szkatułeczkę i pokazała pannie Marji różno-barwne farby i kajeciki z rysunkami do

kolorowania. Następnie razem obmyślały, jak się dzień dzisiejszy spędzi. Zosia ubolewała nad tem, że mamusia nie pozwoliła zrobić herbatkę dla przyjaciółek w małym imbryczku i nalewać ją samej w filiżanki.

— Może pani coś wymyśli, żebym mogła napełnić mlecznik, cukierniczkę i podać mały podwieczorek w dziecinnym pokoju.

— Nie, moje dziecko, mama stanowczo zabroniła mi dawać ci cokolwiek innego do jedzenia, niż to co dla ciebie jest wyznaczane.

Zosia westchnęła głęboko i zamyśliła się, ale po chwili oczki jej się roześmiały. Powzięła zamiar, który postanowiła wykonać bez wiedzy starszych. Wracając po śniadaniu ze spaceru powiedziała mamusi, że zaraz przygotuje wszystko na przyjęcie swych małych gości. Ustawiła więc serwisik do herbaty na stoliczku, na drugim położyła farby, dostała różne zabawki, któremi miały się bawić.

— Teraz muszę się zabrać do przyrządzenia herbatki — rzekła do siebie — i zbiegła z imbryczkiem do ogrodu, narwała listków koniczyny, zalała je wodą, którą postawiono właśnie w miseczce dla pieska mamusi. Herbatka już gotowa — zawołała uradowana — teraz trzeba przyrządzić śmietankę. Wzięła z kredensu kawałek kredy do czyszczenia sreber, naskrobała swoim nożykiem sporą ilość, wsypała do mlecznika i zalała wodą. Dobrze wymieszawszy łyżeczką, otrzymała płyn biały, który od biedy mógł przypominać śmietankę. Teraz trzeba było pomyśleć o zdobyciu cukru. Zosia i na to znalazła radę,

kredę połamała na drobne kawałeczki, napełniła niemi cukierniczkę, postawiła na stole z miną zwycięzką.

— Oto pomysł wyborny! przyznała, zachwycona swym sprytem. Z pewnością ani Pawełek ani Kamilka, ani Madzia nie zdobyliby się na coś podobnego.

Zosia oczekiwała na swych gości jeszcze dobre pół godziny, ale nie nudziła się wcale. Tak była zadowolona ze swej herbatki, że nie chciała oddalić się od stoliczka, zacierała rączki co chwila z radośnym wyrazem, powtarzając wciąż:

— Boże! Jaka ja jestem mądra dziewczynka.

Wreszcie Pawełek i przyjaciółki przyjechali. Mała solenizantka wybiegła na ich spotkanie i pośpiesznie zabrała ich z sobą, żeby im pokazać podarunki dziś otrzymane. Pudełko z farbami było też dla małych gości pułapką, zwiodło ich ono, byli bowiem pewni, że to jest prawdziwa książka. Przybór do herbaty wywołał wielkie pochwały. Chciano odrazu zasiąść do picia, ale Zosia poprosiła, ażeby wstrzymali się do godziny trzeciej, a tymczasem zabrali się do malowania rysunków w zeszycikach. Nabawiwszy się dobrze, złożyli porządnie farby i pędzelki, a Pawełek zawołał:

— Teraz zasiadamy do herbaty.

— Niech Zosia robi honory domu, dorzuciła Kamilka.

— Siadajcie, proszę — odrzekła uprzejmie Zosia. Podajcie mi wasze filiżanki, zaraz napełnię je herbatą. Ale najprzód trzeba rzucić cukru. A oto herbata i śmietanka.

Gdy już wszystkie filiżanki zostały napełnione i Madzia mieszała dość długo swoją, rzekła ze zdziwieniem:

— To dziwne, że ten cukier nie rozpuszcza się wcale.

— Mieszaj dobrze, moja droga, odparła Zosia z pewnością siebie, rozpuści się napewno.

— Ale twoja herbatka jest zupełnie zimna — zawołał Pawełek.

— Bo już stoi dość długo — odpowiedziała Zosia.

Kamilka podniosła filiżankę do ust i spróbowawszy dziwnego napoju, odstawiła go ze wstrętem.

— Fe! Jakie to okropne!.. zawołała — przecież to niepodobne wcale do herbaty!

— Zupełnie smak kredy — dodała Madzia, spluwając.

— Co ty nam dałaś, moja Zosiu? — oburzył się Pawełek. Jakaś okropna mikstura! Tfu!

— Tak wam się moja herbatka niepodoba? szepnęła Zosia zakłopotana.

— Zasługujesz na to, żebyśmy cię zmusili do wypicia tego ohydnego napoju, jakim nas uraczyć chciałaś, — zawołał Pawełek.

— Jesteście doprawdy bardzo wymagający i wybredni — broniła się mała solenizantka.

— Przyznaj sama, że nawet dla niewymagających wcale twoja herbatka jest niemożliwą do przełknięcia — rzekła Kamilka z uśmiechem.

— Pij, proszę cię! Wtedy powiesz czy jesteśmy wymagający — zawołał Pawełek — podsuwając imbryczek do ust Zosi.

Dajże mi spokój! mówiła dziewczynka, odwracając się do ciotecznego braciszka, ale ten nie dawał za wygraną i coraz natarczywiej domagał się, aby Zosia wypiła całą

zawartość imbryczka, a następnie mlecznika, wreszcie chciał napoić ją przemocą.

Zosia broniła się, krzyczała. Kamilka i Madzia starały się zwaśnionych uspokoić i wyrwać mlecznik z rąk Pawełka, ale odtrącił je ze złością. Zosia skorzystała z zamieszania i rzuciła się z pięściami na Pawełka, wobec tego Kamilka i Madzia odciągały ją co sił, Pawełek ryczał, Zosia wrzeszczała, obie przybyłe w goście dziewczynki poczęły wołać o pomoc. Panie Irena i Aurelja wpadły przerażone. Dzieci zamilkły i patrzały na siebie wylęknione.

— Co się tu dzieje? Zkąd te krzyki? pytały panie.

Kamilka starała się zbagatelizować całą sprawę, ale pani Irena domyśliła się odrazu, że Zosia pobiła się z Pawełkiem, ten zaś opowiedział jaka była przyczyna kłótni, oskarżając Zosię, że chciała dać im coś wstrętnego do wypicia, a następnie powiedziała że są zbyt wybredni.

Pani Irena powąchała mieszaninę kredy z wodą w mleczniku, spróbowała na koniec języka i skrzywiwszy się ze wstrętem, zapytała Zosię surowo:

— Zkąd to wzięłaś?

Zosia spuściła oczy i odrzekła zawstydzona:

— Przyrządziłam sama.

— Z czego?

— Z kredy do czyszczenia sreber i z wody postawionej dla pieska.

— A herbatę?

— Z listków koniczyny nalanej wodą.

— I cukier zrobiłaś jak widzę z tejże kredy — dorzuciła matka, biorąc cukierniczkę do ręki. Ładne przyjęcia

urządziłaś dla przyjaciółek, niema co mówić! Znowu zawiniłaś nieposłuszeństwem, gdyż nie pozwoliłam ci urządzać herbatkę w twoim pokoiku i nieprzypuszczałam, żebyś nafabrykowała takiej obrzydliwości i chciała niemi poczęstować swych gości. Na dodatek wszystkiego pobiłaś się ze swym braciszkiem! Za karę zabieram twój przybór do herbaty, nie będziesz mogła nim się bawić, gdyż znowu coś zbroisz. Powinnabym zabronić ci jeść obiad z nami, ale nie robię tego jedynie przez wzgląd na twoje przyjaciółki, którym by to sprawiło wielką przykrość.

Wszystkie trzy mamy wyszły razem, śmiejąc się cichaczem z pomysłowości Zosieńki, ale biedna mała solenizantka była niezmiernie strapiona. Pawełkowi też przykro się zrobiło, że się uniósł gniewem. Dobre dziewczynki, Kamilka i Madzia, pocieszały ich i starały się pogodzić. Zosia pocałowała Pawełka i przeprosiła wszystkich swych gości poczem nastąpiło ogólne pojednanie. Przyrzeczono Zosieńce, że jej nieszczęśliwy pomysł pójdzie w zapomnienie i nigdy się o nim wspominać nie będzie.

Cała czwórka pobiegła do ogrodu łapać motyle. Pawełek włożył kilka złowionych do pudełka ze szklaną nakrywką. Ułożono motylki na trawie i kwiatach, wrzucono parę truskawek i wiśni, żeby miały pożywienie.

Wieczorem, gdy już rozjeżdżano się po sutej wieczerzy Pawełek spoglądał z żalem na pudełko z motylami. Widać było, że mu się ogromnie chciało mieć je na własność, gdyż zbierał kolekcję owadów. Kamilka, Madzia i Zosia

spojrzały na siebie porozumiewawczo i wszystkie trzy wyrzekły się motyli dla zrobienia przyjemności Pawełkowi. Uszczęśliwiony chłopak zabrał z sobą pudełko ze ślicznemi motylkami i zawiózł ostrożnie do domu.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: [Sophie de Ségur](#) i tłumacza: [Natalia Dzierżkówna](#).*

ELŻUNIA.

Zosia siedziała pewnego dnia w swym małym foteliku głęboko zadumana.

— O czem tak myślisz? zapytała ją mama.

— Myślę o Elżuni, mamusiu. Zauważyłam wczoraj, że ma podrapaną do krwi rękę, a gdy ją zapytałam w jaki sposób jej się to przytrafiło, poczerwieniała, chowając rączkę za siebie i szepnęła: „Cicho bądź! Zrobiłam to sama, żeby siebie ukarać“. Nie rozumiem zupełnie co to mogło być takiego?

— Zaraz ci wytłómaczę — odrzekła pani Irena, bo też byłam zaciekawioną i zapytałam mamusię Elżuni o wyjaśnienie tego podrapania. Dowiedziałam się przyczyny. Posłuchaj, bo to jest bardzo ładny rys charakteru Elżuni.

Zosia zadowolona, że mamusia opowie zajmującą historyjkę, przysunęła się z fotelikiem do matki, aby lepiej słyszeć. Pani Irena rozpoczęła w te słowa:

— Wiesz o tem, że Elżunia jest bardzo dobra, ale na nieszczęście ma charakter porywczy i łatwo się gniewa. (Tu Zosia spuściła oczy, jakgdyby o niej samej była mowa.) Otóż zdarzało się nawet, że uderzyła służącą Ludwikę, która jest bardzo do Elżuni przywiązana. Zwykle po takim napadzie złości Elżunia żałuje swej porywczości, ale zastanowienie przychodzi zapóźno, zamiast przyjść w porę. Tak samo się zdarzyło przedwczoraj. Prasowała właśnie sukienki i bieliznę swojej lalki. Ludwika kładła i

wyjmowała sama żelazko z ognia, w obawie, żeby się Elżunia nie sparzyła. Niecierpliwiło to Elżunię, której chciało się koniecznie udawać dorosłą i prasować swem małem żelazkiem bez niczyjej pomocy. Ludwika śledziła zdaleka każdy ruch Elżuni i schwyciła ją za rączkę, gdy chciała włożyć żelazko do kominka. „Ponieważ jesteś nieposłuszną — zawołała, odbierając jej żelazko — schowam je do szafy“. Służąca natychmiast groźbę swą wypełniła. Elżunia poczęła krzyczeć z całych sił: „Oddaj mi w tej chwili żelazko!“ Ale krzyki i wołania na nic się nie przydały, Ludwika najspokojniej zamknęła szafę na klucz. Elżunia starała się wyrwać go, lecz nie mogła poradzić, wobec tego taka ją złość porwała, że do krwi podrapała obnażoną do łokcia rękę Ludwiki. Dopiero widok krwi uspokoił nieco Elżunię, zrozumiała, że zadała ból wielki, przepraszała, zmywała wodą ranę i bardzo była przejęta tym wypadkiem, pomimo że poczciwa Ludwika zapewniała, iż nie cierpi wcale. „To nie może być!.. wołała Elżunia ze łzami w oczach, zasługuję na to, żebyś mnie tak samo podrapała do krwi, proszę ciebie zrób to zaraz, bo inaczej nie będę miała chwili spokoju“. Domyślasz się naturalnie, że Ludwika nie zgodziła się na to. Elżunia resztę dnia bawiła się spokojnie i była bardzo grzeczna. Wcześniej położyła się do łóżeczka, nie robiąc żadnych grymasów. Nazajutrz rano Ludwika zauważyła plamy krwawe na posadzce Elżuni, a następnie jej rączkę najokropniej podrapaną. „Kto ciebie tak zranił, dziecinko kochana?“ zapytała Ludwika przerażona — „To ja sama siebie ukarałam, za to że Ludwikę wczoraj zakrwawiłam,

odpowiedziała Elżunia z pokorną minką, położyłam się i myślałam, że powinnam znieść taki sam ból, jaki w uniesieniu zadałam“.

Ludwika ze wzruszeniem ucałowała Elżunię, która przyrzekła być już zawsze grzeczną i powstrzymywać się od złości. Teraz już wiesz, moja Zosieńko, dlaczego Elżunia zarumieniła się wspomniawszy o wymierzonej sobie karze.

— O tak, mamusiu, wiem już dobrze i podoba mi się bardzo postępek Elżuni — zawołała Zosia z zapałem. Jestem pewna, że nie będzie nigdy wpadać w gniew, bo zrozumiała jak to źle.

Pani Irena uśmiechnęła się i zapytała córuchnę:

— Czy ty nigdy nie robisz tego, o czem jesteś przekonaną, że źle jest tak robić.

— Ale ja jestem o rok młodsza od Elżuni... odrzekła Zosia, nie mogąc szczerze odpowiedzieć na zadane pytanie.

— Wiek tu niema wielkiego znaczenia, moje dziecko, przypomnij sobie, jak niedalej, niż przed tygodniem rozgniewałaś się na Pawełka, biłaś go i kopałaś nóżkami.

— To prawda, mamusiu, ale zdaje mi się, że się to już nigdy nie powtórzy.

— Mam nadzieję, Zosieńko, strzeż się jednak, uważać siebie za lepszą niż jesteś. Wadę tę nazywamy pychą.

Zosia nic nie odpowiedziała, ale miała wyraz pewności siebie i zadowolenia, mające świadczyć, że nie wątpi w prawdę słów przed chwilą wypowiedzianych. Niestety, Zosieńka była niepoprawną i najrozmaitsze miała wybryki.

Oto nowy dowód złych skłonności Zosi.

---

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autora: [Sophie de Ségur](#) i tłumacza: [Natalia Dzierżkówna](#).*

Pudełko do roboty.

Jeżeli tylko jakiś przedmiot podobał się Zosieńce, zaczynała wnet napierać się, by go jej dano. Nie zrażona odmową matki, prosiła wciąż aż do znudzenia. Najczęściej kończyło się tem, że mamusia kazała jej wyjść z pokoju. To nie przeszkadzało upartej dziewczynce przemyśliwać na osobności nad sposobem zdobycia upragnionej rzeczy. Spotykały ją nieraz kary, pomimo to była niepoprawną.

Pewnego dnia pani Irena zawołała córeczkę, żeby jej pokazać śliczne pudełko, a właściwie szkatułeczkę z przyborami do roboty, wyłożoną niebieskim aksamitem, zwierzchu misternie wyrobioną z szyldkretu i złota. Było to cacko prawdziwe. Naparstek i nożyczki, mały scyzoryczek wszystko było ze złota. Pudełeczko na igły, drugie na szpilki, różnokolorowe jedwabie, sznureczki, wstążki zachwycały Zosię.

— Ach, mamusiu, jakież to ładne!.. mówiła przyglądając się każdej rzeczy z osobna. Co za przyjemność mieć wszystko potrzebne do roboty! Dla kogo jest to pudełeczko?

Była prawie pewna, że mamusia odpowie: „To tatuś przysłał dla Zosieńki.“ Ale pani Irena rzekła:

— Tatuś przysłał dla mnie z Paryża.

— Szkoda! odparła Zosia. Chciałabym bardzo mieć taką szkatułeczkę do roboty.

— Dobra z ciebie córeczka, niema co mówić — rzekła

mamusia. Zamiast cieszyć się, że dostałam taki ładny prezent, masz taką minę, jakbyś mi zazdrościła.

— Niech mamusia daruje mi tę szkatułeczkę, prosiła Zosia natarczywie.

— Nie umiesz jeszcze szyć tak dobrze, aby posiadać własny neseserek. A przytem nie potrafiłabyś utrzymać go w porządku i pogubiłabyś z pewnością te cenne rzeczy.

— O nie, będę się z niemi obchodziła jak najstaranniej! Ręczę mamusi, że nic nie zginie — przymilała się Zosieńka. Niech mamusia da mnie szkatułeczkę! Moja mamusieńko, moja złota!..

— Nie dziecinko, nawet nie myśl o tem. Jesteś jeszcze za mała — odpowiedziała matka.

— Zaczynam już szyć bardzo dobrze, mamusiu, i bardzo lubię robótki.

Pani Irena zaśmiała się słysząc te zapewnienia.

— Doprawdy? zapytała. A dlaczegoż jesteś zawsze tak nachmurzona, gdy cię napędzam do igły?

— Bo... bo.. niemam potrzebnego przyboru do roboty — mówiła Zosieńka, nie spuszczając oczu ze szkatułki, ale gdybym tylko miała, pracowałabym od rana do wieczora z wielką przyjemnością.

— Staraj się pracować pilnie, nie posiadając tak wytwornego przyboru do szycia, rzekła pani Irena — to będzie najlepszy sposób zdobycia takiego właśnie, jak mój, który tak się tobie podoba.

— Mamusiu, proszę cię daj mi tę szkatułeczkę, upierała się Zosia.

— Nie nudź mię! Nie myśl już o tem więcej i zajmij się

czem innem — odpowiedziała matka zniecierpliwiona.

Zosia ze zwykłym sobie uporem jeszcze z dziesięć razy nalegała na oddanie jej pudełka do roboty, wreszcie mama kazała jej pójść do ogrodu. Tam zamiast bawić się jak zazwyczaj, Zosieńka usiadła na ławeczce, rozmyślając wciąż w jaki sposób dojść do posiadania upragnionego cacka.

— Gdybym umiała pisać, wysłałabym zaraz list do tatusia, prosząc aby mi przysłał zupełnie taką samą skrzyneczkę, jak mamusina — wzdychała Zosia — ale że nie umiem jeszcze stawić literek, musiałabym komuś list podyktować. Mama by napewno gniewała się na mnie za moją śmiałość i nie pozwoliłaby wysłać listu do tatusia. Mogłabym doczekać się przyjazdu tatusia, ale to może nastąpić nie prędko, a chciałabym mieć już zaraz tę prześliczną szkatułeczkę.

Po długiem zastanowieniu Zosia powzięła zamiar, który tak ją ucieszył, że wskoczyła na ławkę i poczęła klaskać w rączki z wielkiej uciechy. Natychmiast pobiegła do salonu. Pudełko do roboty stało na stole, ale mamy już nie było w pokoju. Zosia otworzyła wieko i poczęła wyciągać jedno po drugiem wszystkie drobiazgi ze szkatułki.

Serduszko Zosieńki biło mocno, miała zeznanie, że popełnia kradzież, rzecz za którą wsadzają do więzienia. Obawiała się, żeby kto nie nadszedł i nie zauważył przywłaszczania sobie cudzej własności, ale jakoś nikogo nie było w pobliżu i Zosi udało się ściągnąć wszystko, co tylko znajdowało się w wybitem aksamitem pudełku. Skończywszy z tem, Zosia zamknęła je ostrożnie, postawiła

znowu na środku stołu, a sama pobiegła do kącika, w którym mieściły się jej zabawki, wysunęła szufladkę stoliczka i umieściła w niej wszystkie zagrabione skarby.

— Mając tylko puste pudełko, mamusia nie zechce go zatrzymać dla siebie i odda mi je z pewnością, a wówczas powkładam znowu wszystkie drobiazgi na swoje miejsce i będę miała upragnioną całość.

Zosia tak była zachwycona swym pomysłem, że nawet nie czyniła sobie wyrzutów, ani przyszło jej do głowy zastanowić się: co na to mama powie? Na kogo padnie podejrzenie, iż popełnił kradzież? Nic ją nie obchodziło w tej chwili oprócz tego, że jej gorącemu pragnieniu stało się zadość.

Cały ranek minął spokojnie. Nikt nie otwierał pudełka i nie zauważył braku mieszczących się w niem przedmiotów. Dopiero, gdy zbliżała się godzina obiadu i wszyscy zaproszeni przez panią Irenę goście zebrali się w salonie, powiedziała natenczas, że pokaże im otrzymany od męża prezent.

— Zobaczycie państwo — rzekła — jak tu o wszystkiem jest pomyślane, ile przedmiotów znajduje się w tem pięknem pudełku do roboty. A najprzód proszę obejrzeć je z wierzchu, jak wytwornie jest odrobione.

Wszyscy brali kolejno pudełko do ręki i zachwycali się misternem wykończeniem każdego szczegółu. Ale gdy pani Irena podniosła nakrywkę, otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

— Co to ma znaczyć? zawołała oburzona. Dziś rano wszystko tu było na miejscu, a teraz pudełko jest zupełnie

puste!

— Czy zostawiła je pani w salonie? dopytywały panie ciekawie.

— Tak jest i nie przypuszczam, żeby ktokolwiek ze służby śmiał go dotknąć. Wszyscy są uczciwi i niezdolni popełnić tak bezecnej kradzieży.

Serduszko Zosi biło mocno, gdy słuchała tej rozmowy ukryta za gośćmi, drżąca na całem ciele. Pani Irena, mając już ją w podejrzeniu, poczęła Zosi szukać wzrokiem, a nie widząc przy sobie, zawołała zaniepokojona:

— Zosiu, gdzie jesteś Zosiu?

Dziewczynka nie odpowiadała, ale panie, za któremi była ukrytą, rozstąpiły się nagle i Zosia ukazała się czerwona jak burak, z minką zmieszaną, na pierwszy rzut oka można było domyśleć się, że ona jest winowajczynią.

— Zbliż się!.. zawołała pani Irena.

Zosieńka posuwała się powoli, nogi drżały pod nią, widziała, że mama jest mocno rozgniewaną.

— Gdzie położyłaś wszystkie przedmioty, wyjęte z mego pudełka? zapytała stanowczym tonem.

— Ja nic nie wyjmowałam — szepnęła Zosia ze łzami.

— Chodź za mną!

Zosia nie ruszała się z miejsca, jakgdyby nie słyszała wezwania. Natenczas pani Irena chwyciła ją za rączkę i pociągnęła za sobą do kącika z zabawkami. Tam otwierała kolejno szufladki w komodzie dla lalek, szukała w szafce z sukniami, nie znalazłszy nic, obawiała się już, że może podejrzewała córeczkę niesprawiedliwie, ale odsunęła szufladkę stolika i tu dopiero odnalazła całą zawartość

swego nowego neseserka. Nie rzekłszy ani słowa, ściągnęła Zosię rózgą tak mocno, jak nigdy dotąd. Nic nie pomogły krzyki i prośby małej złodziejki. Matka zabrawszy wszystkie skradzione przedmioty, poszła do salonu, zostawiając Zosię samą płaczącą rzewnemi łzami. Nie śmiała pokazać się przy obiedzie i dobrze zrobiła, gdyż matka kazała odesłać jej jedną potrawę do dziecinnego pokoju i tam również miała Zosia spędzić cały wieczór. Bona, która zwykle dogadzała jak mogła Zosi, teraz patrzyła obojętnie na jej łzy i z oburzeniem nazywała ją złodziejką.

— Trzeba będzie zamykać klucze — mówiła — kto wie czy nie przyjdzie ci do głowy mnie okraść! Jeżeli cokolwiek w domu zginie, wszystkim będzie wiadomo, gdzie szukać winowajcę i zaraz przetrząsać zaczną twoje szufladki.

Nazajutrz pani Irena przywołała Zosię i odczytała jej list męża, dołączony do szkatułki. Brzmiał on jak następuje:

„Nabyłem, droga moja, elegancki neseserek do roboty, który ci posyłam. Przeznaczyłem go dla Zosi, ale tymczasem zachowaj to w tajemnicy, niech będzie nagrodą za wzorowe postępowanie w ciągu całego tygodnia. Pokaż Zosieńce to cacko, ale nie wspominaj o tem, że jest dla niej przeznaczone, nie chciałbym bowiem, żeby zachowywała się grzecznie jedynie w chęci zyskania ładnego prezentu, ale żeby obudziło się w niej pragnienie być zawsze grzeczną i dobrą.

— Widzisz teraz — rzekła pani Irena — że okradając mnie okradłaś sama siebie. Potem co uczyniłaś, choćbyś

całemi miesiącami była grzeczna, nie otrzymasz szkatułki. Mam nadzieję, że ta nauczka nie pójdzie na marne, że już nigdy nie popełnisz tak ohydnego czynu.

Zosia płakała rzewnie, błagała o przebaczenie. Mama zgodziła się wreszcie na nie, ale nigdy nie oddała szkatułeczki do roboty.

Później darowała je Elżuni, która szyć już umiała bardzo dobrze i była ogromnie grzeczną od pamiętnej chwili podrapania Ludwiki i ukarania siebie samą za swą porywczość.

Pawełek, dowiedziawszy się o tem, co zrobiła Zosieńka, był tak oburzony, że w ciągu całego tygodnia nie przyjeżdżał do niej w odwiedziny. Dopiero gdy mu opowiedziano jak bardzo żałuje tego czynu, jak się wstydzi i cierpi nad tem, dobry chłopczyna ulitował się nad nią i przybył, by pocieszyć Zosieńkę.

— Wiesz, moja droga, jaki jest najlepszy sposób zatarcia w pamięci otaczających ciebie tego wstrętnego czynu? Oto należy być tak uczciwą i prawą, aby nikt nie mógł nawet podejrzewać ciebie o coś podobnego.

Zosia przyrzekła braciszkowi, że nigdy w życiu nie przywłaszczy sobie tego, co do niej nie należy i nawet myśl taka w głowie jej nie powstanie. Istotnie dotrzymała słowa i nigdy już ciężki zarzut złodziejki ją nie dotknął.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autora: [Sophie de Ségur](#) i tłumacza: [Natalia Dzierżkówna](#).*

WÓZECZEK.

Mama nie pozwoliła Zosi jeździć na osiołku, więc dziewczynka umyśliła zaprządz go do wózeczka i pojechać z Pawełkiem na spacer.

— Czy tylko ciocia nic nie będzie miała przeciwko temu? zapytał Pawełek.

— Idź, mój drogi i poproś mamusię, bo ja nie mam odwagi — odrzekła Zosieńka.

Pawełek pobiegł do pani Ireny i przedstawił jej prośbę dzieci, na co dostał odpowiedź, że mogą jechać tylko w takim razie, jeżeli bona będzie im towarzyszyła.

Zosia nachmurzyła się usłyszawszy rozkaz mamusi.

— Co to za nuda mieć przy sobie kogoś, kto wciąż strofować będzie, obawia się wszystkiego i nie pozwoli jechać prędko — ubolewała Zosia.

— Nie mamy potrzeby galopować wiesz, że ciocia zabrania — mówił Pawełek.

Zosia milczała nadąsana, podczas gdy Pawełek pośpieszył zawiadomić bonę i kazał zaprządz osiołka do wózeczka. W pół godziny potem wózek stał już przed gankiem.

Zosia wsiadła, ale ciągle była chmurną, pomimo usiłowań Pawełka wprowadzenia siostrzyczki w dobry humor. Wreszcie te dąsy rozgniewały go i rzekł zniecierpliwiony:

— Nudzisz mnie temi swojemi minkami. Wolę pójść do

domu, bo to nieznośna rzecz nie mieć na żadne moje słowo odpowiedzi, bawić się samemu i patrzeć na twoją twarz nachmurzoną.

To mówiąc, Pawełek skierował osiołka w stronę domu. Zosia milczała uparcie. Wsiadając z wózeczka, zaczepiła się nóżką o stopień i upadła.

Pawełek zeskoczył natychmiast i dopomógł jej podnieść się. Nie doznała żadnego bólu, ale dobroć Pawełka tak ją wzruszyła, że rozpłakała się rzewnie. Pawełek, sądząc, że się mocno uderzyła, począł ubolewać nad siostrzyczką:

— Biedna Zosieńko! Oprzej się mocno na mojem ręku. Nie obawiaj się. Ja cię podtrzymam.

— Nie, mój drogi, nic mi się nie stało, mówiła Zosia szlochając, płaczę dlatego, że byłam niedobrą dla ciebie, a ty zawsze jesteś dla mnie wyrozumiały.

— Nie warto płakać z tego powodu, Zosieńko kochana, nie jest to moja zasługa, że jestem dobry i wyrozumiały dla ciebie, gdyż kocham cię siostrzyczko i przyjemność mi robi, jeśli jesteś zadowolona.

Zosia rzuciła się Pawełkowi na szyję i ucałowała, płacząc jeszcze bardziej. Pawełek nie wiedział sam jak ją ma uspokoić. Wreszcie rzekł:

— Słuchaj, Zosiu, jeżeli będziesz ciągle płakała, to i ja się rozbeczę! Nie mogę patrzeć na twoje łzy i zmartwienie!

Zosieńka otarła oczki i przyrzekła nie płakać więcej, mimo to łezki spłynęły jej po policzkach. Rzekła więc:

— Pozwól mi się wypłakać, to mi dobrze zrobi. Czuję, że staję się lepszą.

Dostrzegłszy jednak że i Pawełkowi łzy się zakręciły w

oczach, uspokoiła się roześmiała się nawet i oboje w wielkiej zgodzie poszli bawić się w dziecinnym pokoju. Czas im zeszedł niepostrzeżenie aż do obiadu.

Nazajutrz Zosia zaproponowała znowu spacer w wózeczku, wiezionym przez osiołka. Bona była zajętą praniem jakichś delikatnych koronek, panie Irena i Aurelja wybierały się w odwiedziny do sąsiadów.

— Jakże my pojedziemy? pytała Zosia zrozpaczona.

— Gdybym była pewną, że będziecie grzeczni oboje — rzekła pani Irena — pozwoliłabym wam jechać samym, ale Zosia ma zawsze dzikie pomysły, więc obawiam się, aby coś znowu nie przytrafiło.

— O nie, mamusiu, nie będę miała żadnych dzikich pomysłów — zawołała Zosieńka — niech mamusia pozwoli nam jechać samym. Osiołek jest taki łagodny, żadnej krzywdy nam nie zrobi.

— Osiołek jest łagodny, to prawda, o ile z nim się dobrze postępuje, ale bądźcie ostrożni, nie wyjeżdżajcie na gościniec i nie jedźcie zbyt szybko.

— Dziękujemy! dziękujemy! wołały dzieci uradowane i pobiegły zaraz do stajni, żeby zaprzęgać osiołka.

Gdy już wszystko było gotowe, dwóch chłopaczków jednego z fornali, powracających właśnie ze szkoły, stanęło obok wózeczka.

— Jadą sąsiedztwo na spacer? zapytał starszy z nich, Jędruś.

— Tak jest — odpowiedział Pawełek — czy miałbyś ochotę pojechać z nami.

— Nie mogę zostawić brata — odparł Jędruś z

widocznym żalem.

— To niech też jedzie z nami — rzekła Zosia.

— Bardzo dziękuję panience — rzekł Jędruś.

— A kto siądzie na koźle i będzie powoził? zapytała Zosia.

— Jeżeli masz chęć powożenia, to siadaj sama na koźle — odpowiedział Pawełek — wiedząc, że jej to zrobi wielką przyjemność, ale Zosia nie chciała rozpoczynać.

— Wolę powozić później, gdy się już osiołek trochę zmęczy — odrzekła.

Czworo dzieci usiadło w wózeczku i używało spaceru w ciągu paru godzin. Powożono naprzemianę, aż wreszcie osiołek był już bardzo zmęczony i coraz bardziej zwalniał kroku.

— Panienko — zawołał Jędrek — jeżeli panienka chce popędzić osiołka, to zerwę zaraz gałąź tarniny, a bijąc nią zmusi się go do szybszego biegu.

— Doskonały pomysł! zawołała Zosia. Musimy zmusić tego leniucha do szybszego poruszenia się.

Zatrzymała wózek, Jędrek zeskoczył i po chwili powrócił niosąc długą gałąź.

— Ostrożnie, Zosiu, przestrzegał Pawełek, wiesz, że ciocia nie pozwala bić mocno osiołka.

— Może ta gałąź lepiej poskutkuje od batożka, bo jest dłuższa.

To mówiąc, Zosia uderzyła parę razy osiołka i ten począł pędzić cwałem. Ucieszona tem dziewczynka podwajała razy, śmiejąc się głośno, chłopacy wiejscy wtórowali jej, tylko Pawełek siedział zaniepokojony, obawiając się, żeby

się jakie nieszczęście nie przytrafiło, wskutek którego Zosia byłaby znów strofowaną i karaną.

Nadjeżdżali właśnie do spadzistości dość stromej. Zosia poczęła bić osiołka z całych sił, wobec czego osiołek popędził galopem. Napróżno Zosia starała się go powstrzymać, leciał z górki nadół, jak nieprzytomny.

Wszystkie dzieci krzyczały jednogłośnie, co wystraszało go jeszcze bardziej. Wpadłszy na mały pagórek, wózek stracił równowagę. Dzieci pospadały na ziemię, osiołek zaś ciągnął za sobą opustoszały wózek, który wywrócił się i połamał na drobne części.

Dzieci szczęśliwym trafem wyszły cało, tylko miały twarze i ręce podrapane. Podniósłszy się i otrzepawszy z kurzu, miały wszystkie zafrasowane miny. Chłopaki fornala pośpieszyły na folwark, a Zosia z Pawełkiem powróciła do domu, zawstydzona była i niespokojna.

Pawełek posmutniał. Szli czas jakiś w milczeniu, wreszcie Zosia rzekła:

— Ach, Pawełku, jak ja się boję mamusi! Co ona na to powie?..

— Myślałem że źle się skończy ta historja, jak tylko zobaczyłem twoje wymachiwanie gałęzią nad osiołkiem — odpowiedział Pawełek — szkoda, że nie powiedziałem ci ostrzejszym tonem, możebyś mię była usłuchała.

— Nie, Pawełku, nie byłabym cię usłuchała — zawołała Zosia z całą szczerością. Nigdy nie przypuszczałam, żeby kolce mogły ranić osła przez sierść grubą. Ale co będzie teraz, jak się mamusia o wszystkiem dowie?..

Dzieci pospadały na ziemię, osiołek zaś ciągnął za sobą wózek, który wywrócił się i połamał na drobne części.

— Bardzo to źle, moja droga, że jesteś nieposłuszną. Gdybyś zawsze słuchała cioci, nie byłabyś nigdy karaną — powiedział Pawełek poważnym głosem.

— Będę się starała być posłuszną, daję ci słowo, że będę się starała — zapewniała Zosia — ale kiedy to taka nudna

rzecz słuchać!..

— Ale jeszcze gorzej być karaną. Zauważyłaś zapewne, że wszystko, czego nam zabraniają, jest niebezpieczne lub szkodliwe. Jeżeli uczynimy cokolwiek wbrew woli starszych, zawsze wychodzi na złe.

— Tak, to prawda! potwierdziła Zosia. Ale czy słyszysz, że powóz się zbliża? Mamusie już powracają. Biegnijmy prędko, żeby je wyprzedzić.

Pobiegli oboje ku domowi, ale nie udało się im wejść niezauważonymi, powóz bowiem podjeżdżał właśnie pod ganek w chwili, gdy zadyszani wpadli na schody.

Pani Irena i Aurelja dostrzegły odrazu podrapania na twarzach dzieci.

— A co? Oto znowu mieliście jakieś przygody! — zawołała pani Irena. Opowiedzcie, co się wydarzyło?

— To osiołek, mamusiu — szepnęła Zosia.

— Byłam pewną, że stanie się coś złego! Cały czas, będąc w gościnie, niepokoiłam się waszą jazdą wózeczkiem! Czy się wściekł ten osioł, żeby tak was ładnie urządzić!

— Wywrócił nas, mamusiu, wózek zdaje się jest trochę połamany, gdyż ten głupi osiołek pędził jeszcze długo po wyrzuceniu nas na drodze.

— Mam wrażenie, że musieliście mu dobrze dokuczyć — wtrąciła pani Aurelja — przyznajcie się jak to było?

Zosia spuściła oczki w milczeniu. Pawełek też nie odpowiedział ani słowa.

— Zosieńko, widzę po twojej minie, żeś coś nabroiła — mówiła pani Irena. Miej odwagę powiedzieć prawdę.

Zosia zawahała się chwilę, lecz potem opowiedziała szczerze całą niefortunną wyprawę.

— Od kiedy macie tego osiołka, zawsze jakieś bywają z nim przygody i Zosi przychodzą do głowy pomysły nieszczęśliwe. Każę więc sprzedać osła, zadecydowała pani Irena.

Zosia i Pawełek poczęli prosić usilnie, aby tego nie uczyniła.

— Nigdy już nic podobnego się nie wydarzy — zapewniała Zosieńka.

— Nie to, to co innego przyjdzie wam do głowy. Zosia zawsze potrafi wymyśleć coś bez sensu!.. odrzekła pani Irena, wzruszając ramionami.

— Nie, mamusiu, będę zawsze robiła tylko to co mamusia pozwoli, przyrzekam nic nie wymyślać bez sensu mówiła Zosieńka z przekonaniem.

— Poczekam jeszcze dni kilka, ale uprzedzam, że za pierwszym wybrykiem Zosi osiołek będzie sprzedany.

Dzieci podziękowały pani Irenie za obietnicę powstrzymania jeszcze na parę dni srogiego wyroku.

— Gdzież jest osiołek? zapytała Zosię mamusia.

Dzieci spojrzały po sobie. Przypomniały, że osiołek popędził wprost przed siebie, ciągnąc wózek wywrócony.

Pani Irena kazała przywołać ogrodnika i opowiedziawszy w krótkości co zaszło, posłała na poszukiwanie osiołka.

W godzinę niespełna powrócił. Dzieci oczekiwały go niecierpliwie. Zmartwiły się, gdy ogrodnik rzekł ze smutkiem.

— Zdarzyło się nieszczęście!.
— Jakie? Gdzie? pytały dzieci przerażone.

— Widocznie osioł był bardzo wystraszony — mówił ogrodnik — pędził gościńcem zaprzężony do połamanego wózka, nagle zwrócił w stronę przez podniesioną barjerę i wpadł pod pociąg, który go zmiażdżył odrazu. Dzieci wszczęły taki krzyk, że obie matki i wszyscy domownicy przybiegli dowiedzieć się co się stało? Zosia nie mogła sobie darować, że stała się powodem śmierci biednego osiołka; Pawełek czynił sobie wyrzuty, te nie dość energicznie powstrzymywał Zosię od bicia i kłócia osła gałęzią. Dzień zakończył się ponuro. Jeszcze długo potem Zosia popłakiwała rzewnie, zobaczywszy gdzie na drodze osiołka podobnego do swego ulubieńca, który tak straszną śmiercią zginął, poczęści z jej winy.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: Sophie de Ségur i tłumacza: Natalia Dzierżkówna.*

H R. D E S É G U R

W E S O Ł E W A K A C J E

zajmujące opowiadania dla panienek

Wolny przekład z francuskiego
JERZEGO ORWICZA

S P I S R O Z D Z I A Ł Ó W:

W E S O Ł E W A K A C J E

Przyjazd 80
Budowanie chatek 86
Wycieczka do młyna 103
Niespodziewane spotkanie 112
Ze wspomnień Zosieńki 129
Szczęśliwy powrót i opowiadanie Pawełka 134

Koniec opowiadania Pawełka 149
Sąsiedzka wizyta. — Obrona Maćka idjoty 161
Hrabina Teodora 177
Po latach wielu 188

Odbito w druk. „Grafia“, Warszawa.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: Sophie de Ségur i tłumacza: Natalia Dzierżkówna.*

Wesołe wakacje.

Na wakacje do pani Marji, matki Kamilci i Madzi, które nazywano w całej okolicy „przykładnemi dzieciątkami“[1] — przyjechała siostra z mężem i dwoma synkami, Leosiem i Jankiem, oraz druga, mająca synka Jakóbka. Radość zapanowała wielka z tego powodu.

Pawełek uczy się od dzikiego jego mowy.

W domu pani Marji

bawiła stałe przyjaciołka jej, pani Rosburgowa z miluchną córeczką, zwaną Stokrotką i Zosia Tiszini, pozostawiona na czas nieobecności swej macochy, która wyjechała zagranicę i nie dawała znać o sobie już przeszło dwa lata. Zosia była przedtem niegrzeczną, upartą i niedobrą dziewczynką, ale przebywając wciąż z łagodnemi, uprzejmemi, dobrze wychowanemi Kamilką, Madzią i Stokrotką zmieniła się nie do poznania.

Pani Marja umiała wpływ jaknajlepszy wywierać na otoczenie i wszyscy ją bardzo kochali.

Powróćmy teraz do gromadki przybyłych siostrzeńców pani Marji.

Leonek był to ładny, smukły blondynek lat trzynastu, dużo myślący o sobie, Janek o rok młodszy od niego, o wielkich, czarnych oczach, odznaczał się odwagą, stanowczością, był przytem uprzejmy i łagodny.

Jakóbek siedmioletni o włosach zwijających się w pukle, miał sprytne, wesołe oczki, różowe policzki, dobre serduszko i żywe usposobienie.

Dzieci znalazły w sobie wielkie zmiany po dwuletniem niewidzeniu. Poczęto przypominać różne figle i psoty z poprzednio spędzonych razem wakacji.

— Czy pamiętacie nasz połów motyli?

— A ta biedna żaba, umieszczona na mrowisku? wtrąciła Stokrotka.

— A ten ptaszek, którego wyjąłem z gniazdka i tak mocno trzymałem w ręku że biedactwo zadusiłem — mówił Jakóbek.

— Teraz będziemy się lepiej bawić. Musimy wymyślić

coś bardzo zabawnego — wołały dziewczynki.

Zosia tylko trzymała się na stronie. Nie należała do rodziny i czuła się nieco osamotnioną. Spostrzegł to Janek i zbliżywszy się do niej rzekł serdecznym tonem:

— Nigdy nie zapomnę jak byłaś uprzejmą dla mnie podczas mego pobytu u cioci Maryni! Dwa lata temu jako mały chłopczyk nieraz bardzo dokazywałem, teraz jestem już starszy i będę się starał odpłacić za pobłażliwość na moje figle.

— Dziękuję ci, Janeczku, że pamiętałeś o sierocie! odrzekła Zosia ze smutkiem.

— Wiesz przecie, że masz w nas siostrzyczki, a nasza mamusia kocha cię jak, trzecią swą córeczkę — zawołała Kamilka.

— A my jesteśmy twymi braciszkami, dodali chłopcy przyjaznym tonem.

— Dziękuję wam wszystkim, drodzy moi, czuję się bardzo szczęśliwą mając tak liczną rodzinę, mówiła Zosia rozweselona.

— Dzieci, chodźcie na podwieczorek — wołała pani Marja, zabawiająca się z siostrami i szwagrami w salonie.

Cała gromadka znalazła się za chwilę w stołowym pokoju, napełniając go gwarem. Stół był zastawiony ciastkami i owocami. Projektowano, zajadając z apetytem, jak spędzić dzień jutrzejszy. Leon namawiał na zabawienie się w rybołóstwo, Janek chciał czytać głośno zajmującą książkę, Jakóbek zamierzał łowić motyle ze Stokrotką. Po skończonym podwieczorku dzieci pobiegły do ogrodu. Bracia zachwycali się doskonale utrzymanym ogródkiem

Kamilki i Madzi.

— Brakuje tu jeszcze tylko małej chateczki do składania narzędzi ogrodniczych — zauważył Janek — a drugą wartoby wybudować, żeby w razie deszczu ulewnego można się było do niej schronić.

— Masz słuszność, ale nie potrafiłyśmy się nigdy na to zdobyć — rzekła Kamilka.

— Doskonała myśl! Podczas naszego pobytu u was obaj z Jankiem zbudujemy tu domek — zawołał Leoś z ożywieniem.

— A ja także zrobię domek dla siebie i dla Stokrotki — dodał Jakóbek.

— Co za znakomity budowniczy! zaśmiał się Leonek. Czyż ty potrafisz dać z tem radę, mój Jakóbku.

— Potrafię — zapewniał Jakóbek rezolutnie.

— Będziemy tobie pomagały — mówiła Madzia — Leoś i Janek napewno też dopomogą.

— O nie, nie życzę sobie pomocy Leonka, będzie wciąż drwił ze mnie — odparł Jakóbek.

— Czy Wasza Wysokość zechce przyjąć moją pomoc? zapytał Janek ze śmiechem.

— Nie szanowny panie — odparł Jakóbek zagniewany — przekonam ciebie, że moja Wysokość dość jest potężną, by obyć się bez twojej pomocy.

— Jakże potrafisz dosięgnąć szczytu domku, który ma nas wszystkie pomieścić? zapytała Zosia, mierząc wzrokiem jego drobną postać.

— Zobaczycie! Mam już pomysł. Powiem ci na ucho — dodał, zwracając się do Stokrotki, która wysłuchawszy go,

odpowiedziała szeptem:

— Bardzo dobrze! Doskonale! Nic im nie mów, dopóki nie będzie skończone.

Dzieci obiegły jeszcze cały ogród. Chłopcy wdrapywali się na drzewa, przeskakiwali przez rowy, rwali kwiaty dla siostrzyczek. Pełno było radosnej wrzawy.

Nazajutrz miano się zabrać do budowania, do łowienia motyli, miano zarzucać wędkę, czytać, spacerować, jednem słowem całej doby byłoby zamało dla wypełnienia tych wszystkich projektów zajmującej zabawy.

1. ↑ patrz: Przykładne Dziewczątka hr. de Sègur przekład Jerzego Orwicza, Warszawa 1928 r.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: Sophie de Ségur i tłumacza: Natalia Dzierżkówna.*

Budowanie chatek.

Wszystkie dzieci miały sześć tygodni wolnych, oprócz paru godzin dziennie przeznaczonych na naukę. Było więc dość czasu na uskutecznienie projektów różnorodnych. Dziewczynki przejęły się ogromnie zamiarami chłopców i budowaniem chatek. Stokrotka przebudziła się przed piątą rano i chciała już wstawać, a dowiedziawszy się, że to zawcześnie, westchnęła z żalem:

— Ach jakaż długa noc dzisiejsza! Co za nudna rzecz spać bez końca.

Kamilka i Madzia nie odzywały się, ale nie spały już również. Czekały wszakże cierpliwie, kiedy zegar wydzwoni siódmą godzinę, aby zerwać się wreszcie z łóżka.

Leoś i Janek przebudzili się o szóstej rano i ubierali się szybko. Jakóbek przed ułożeniem się do snu miał jeszcze z wieczora rozmowę ożywioną, prowadzoną półgłosem z ojcem i ze Stokrotką. Słychać było tylko chwilami wybuchy śmiechu i klaskanie w ręce Jakóbka, który całował tatusia i Stokrotkę, ale nikomu nie chciał powiedzieć o czem tak gwarzyli z zapałem.

Leoś i Janek ze zdumieniem spostrzegli, że Jakóbka już w pokojach nie było.

— Musiał wylecieć do ogrodu — rzekł Leoś — cóż chcesz? Pierwszy dzień wakacji, więc żal każdej straconej chwili.

Obaj też pobiegli chyżo w stronę obory, gdzie właśnie kończono wydój. Wypili po szklance mleka prosto od krowy i zapukali następnie do drzwi pokoju siostrzyczek, przypominając, że już czas zabrać się do budowania chatki.

Zbliżając się do dziecinnego ogródka usłyszeli jakieś stukanie, jakgdyby przybijano tam deski. Ku ogólnemu zdziwieniu zastano Jakóbka wbijającego gwoździe z wielkim zapałem. Pomagała mu Zosia, podtrzymując deskę, którą umocowywał do wbitych już słupów. Miejsce było bardzo dobrze obrane w leszczynie, rzucającej cień na pracujących żarliwie.

— Jakże mogłeś wykonać już tyle roboty? — zawołał Janek, zwracając się do Jakóbka. W głowie mi się nie mieści zkąd miałeś siłę przynieść tak ciężkie deski i słupy.

— Zosia i Stokrotka dopomogły mi — odpowiedział chłopczyna — uśmiechając się złośliwie.

Leoś i Janek kręcili głowami z niedowierzaniem.

— O którejże godzinie wstałeś? dopytywała Kamilka.

— O piątej wstałem, a o szóstej byłem już z całym przyborem do budowania. A teraz bierzcie narzędzia, niech każdy pracuje z kolei.

— Nie, nie, proszę cię rób dalej, chcemy nauczyć się od ciebie, jak się w mig chatkę buduje, mówił Leoś drwiąco.

Jakóbek porozumiał się szybkiem spojrzeniem z Zosią i Stokrotką i odparł śmiejąc się:

— Pracujemy już długo i jesteśmy bardzo zmęczeni. Pobiegniemy teraz trochę łapać motyle.

— Tak? Bieganie na odpoczynek? To ciekawe! rzekł Leoś szyderczo.

— Właśnie. Będzie to odpoczynek dla rąk i umysłu — odpowiedział Jakóbek wesoło i oddalił się wnet, zabrawszy dziewczątka z sobą.

Czwórka pozostałych dzieci poczęła rozważać w jakiem miejscu postawić drugą chatkę. Postanowiono umieścić ją naprzeciwko rozpoczętej przez Jakóbka. Następnie udano się do składu drzewa i wybrano kilka sztuk z zapasów desek, które przywieziono na taczce.

Pracowano tak aż do chwili, gdy dał się słyszeć dzwonek na śniadanie. Trzeba było porzucić robotę i pośpiesznie pomyć ręce oraz przyczesać włosy.

Gdy już wszyscy zasiedli do stołu, ojciec Jakóbka począł dopytywać się czy budowa chatek posunęła się nieco.

— Zapewne bardzo wyprzedziliście mego małego syneczka? rzekł w końcu.

— Nic, wujaszku, przeciwnie, Jakóbek posunął już swą robotę tak dalece, że to zupełnie nie do pojęcia! odpowiedział Leoś z pewnem niezadowoleniem.

— Pomimo że jest z was trzech najmłodszy, zdobył się na tyle energji, iż przybijał już ścianki do słupów, a wyście dopiero zwieźli materjał budowlany — wtrąciła Stokrotka.

— Bah! bah! Jakóbek nie jest więc tak złym cieślą, jak to podejrzewałeś, mój Leonku — rzekł pan Traypi, ojciec Jakóbka.

Leoś nic nie odpowiedział, ale mocno się zarumienił, a Jakóbek, który nadszedł właśnie i stał obok ojca, ucałował jego rękę poczem zaczęła się ogólna rozmowa. Doskonałe ciastka czekoladowe rozradowały młodego towarzystwa.

Po śniadaniu chciano koniecznie zaprowadzić starszych

do ogrodu, aby pokazać rozpoczętą budowę, ale rodzice zadecydowali, że dopiero po ukończeniu będą podziwiali te arcydzieła w całej ich okazałości.

Wszyscy udali się razem do pobliskiego lasku i tam nad rzeczką Leoś urządził połów ryb, Kamilka i Madzia pobiegły do ogrodnika, prosząc, by im dostarczył robaczków do wędki, Jakóbek, Stokrotka i Zosia przygotowali wiadro pełne wody dla wrzucania złowionych rybek.

W krótkim czasie dwadzieścia rybek zostało pogrążone w tem wiedrze, stanowiącem ich chwilowe więzienie, zanim dostały się w ręce kucharza.

Wszystkie dzieci zajęte połowem nie zauważyły nawet zniknięcia Jakóbka.

— Pewno pobiegł doprowadzić do porządku swoje motylki — rzekła Madzia.

— Motylki, których wcale nie łapał — szepnęła Stokrotka Zosi na uszko i obie się roześmiały.

— Co to ma znaczyć? zapytał Leonek patrząc na nie podejrzliwie. Od samego rana Jakóbek, Zosia i Stokrotka mają tajemnicze miny, które nic dobrego nie wróżą.

— Dla nas czy dla ciebie? odrzekła Stokrotka filuternie.

— Dla wszystkich. A jeżeli chcecie spłatać figla mnie i Jankowi, to my też odpłacimy wam pięknem za nadobne.

— O co do mnie, to niema obawy! Możecie mi płatać figle ile się wam podoba w żadnym razie mścić się nie będę — zawołał Janek uprzejmym tonem.

— Jaki ty jesteś dobry, mój Janeczku, rzekła Stokrotka, ściskając serdecznie jego rękę. Bądź pewien, że nie

urządzimy tobie żadnej przykrości ani złośliwej psoty.

— A za niewinny figiel nie będziesz się na nas gniewał — wtrąciła Zosia.

— Aha! Więc są jakieś figielki w robocie? Domyślałem się tego! Ale uprzedzam was, że postaram się im przeciwdziałać — mówił Janek ze śmiechem.

— Niemożliwe! Nie potrafisz tego dokonać — zapewniała Stokrotka.

— Zobaczymy! Zobaczymy! odgrażał się Janek.

Przez ten czas Leoś zajęty był łowieniem ryb i nie mieszał się do rozmowy. Nagle odezwał się, licząc ryby w wiedrze:

— Zdaje mi się, że już dość na dzisiaj tej zabawy. Mamy przeszło dwadzieścia rybek. Może zabierzemy się do budowania chatki?

— Leoś ma zupełną słuszność — odpowiedziała Kamilka — musimy dobrze popracować, aby dorównać Jakóbkowi.

— Tego właśnie pojąć nie mogę jak on się z tem urządza — zawołał Janek. Przecież ty z nim pracujesz, moja Zosiu, więc powinnaś wiedzieć w jaki sposób dokonał roboty conajmniej dwu dorosłych ludzi?

— Nie wiem, doprawdy nie wiem... mówiła Zosia zmieszana, ale Stokrotka wtrąciła z żywością:

— To jest bardzo łatwe do zrozumienia. Jesteśmy pilni pracownicy, nie tracimy ani chwili czasu, niczem murzyni przy robocie na plantacjach.

— Co prawda tracimy masę czasu, a Jakóbek, jestem pewną, już tam coś piłuje i przybija, podczas gdy my

zastanawiamy się w jaki sposób tyle już potrafił dokonać. Chodźmy zobaczyć, czy robota jego posunęła się? rzekła Madzia.

Wszystkie dzieci zgodziły się z nią, tylko Zosia i Stokrotka ociągały się i jakby umyślnie znajdowały przeszkody.

— Musimy najprzód doprowadzić do porządku nasze wędki i haczyki — rzekła Zosia.

— I zanieść ryby do kuchni — dodała Stokrotka.

— Poczekajcie, ja sam polecę naprzód i zobaczę, co tam Jakóbek majstruje — zawołał Janek.

Zosia i Stokrotka rzuciły się pośpiesznie, żeby go zatrzymać. Janek bronił się, Kamilka i Madzia przybiegły na pomoc. Wówczas Stokrotka padła na ziemię i schwyciła Janka za nogę.

— Trzymaj go, trzymaj! Bierz go za drugą nogę! mówiła do Zosi.

Janek stracił równowagę i legł plackiem na trawę ku ogólnej wesołości. Wszystkie dziewczynki śmiały się w niebogłosy, Janek również, tylko Leoś miał poważną minę, stojąc przy rybach. Oglądając się od czasu do czasu, mówił tonem niezadowolonym:

— Czy prędko skończycie? Czy długo jeszcze myślicie tak chichotać?.

Im bardziej Leoś robił nadąsaną minę, tem więcej dziewczątka wybuchały śmiechem. Wreszcie całe grono, podżartowując wesoło, pobiegło za Leosiem w stronę gaiku, w którym budowano chatki. Zdaleka dochodziły wyraźnie uderzenia młota, tak pewną i silną ręką, że trudno

było przypuszczać, żeby to Jakóbek sam majstrował.

Janek zręcznie wyrwał się z pod opieki Zosi i Stokrotki i popędził cwałem do gaiku, ale obie dziewczynki wyprzedziły go krzycząc co sił:

— Jakóbku! Jakóbku!.. strzeż się!

— Jakóbku! Uważaj!..

Leoś pomknął, jak strzała i pierwszy stanął przy chatce. Nie zastał tam nikogo ale na ziemi leżały dwa topory, gwoździe i deski.

— Janku, prędzej do mnie! Gońmy za nim! wołał Leoś zdyszany.

Po krótkiej chwili słychać było krzyk:

— Jest! Jest! Już go mam!

— Nie! Uciekł! Łap go! Na prawo!

— A ty zajdź z lewej strony!.

Dziewczątka słuchały tych głosów i nawoływań, wreszcie wysunął się Janek rozczochrany, zmęczony biegiem; po chwili ukazał się Leoś również potargany i znużony. Pytał Janka pośpiesznie:

— Widziałeś go? Jakże można było wypuścić go z rąk?..

— Słyszałem, że uciekał, roztrącając gałęzie. Kierowałem się ich chrzęstem, ale nie dojrzałem nikogo. Tak samo, jak i ty goniłem napróżno — odparł Janek.

Nagle wpadł Jakóbek zadyszany.

— Za kim biegliście tak, krzycząc? zapytał udając zdziwienie.

— Wiesz lepiej od nas, nie udawaj niewiniątka!.. mówił Leoś nie mogąc się pohamować.

— Byłbym go napewno schwytał, gdyby Jakóbek nie

przeciął mi drogi — wtrącił Janek.

— Trzeba mu było dać dobrą nauczkę — mówił Leoś rozgniewany.

— Chciałem złapać tego tajemniczego pomocnika i przyprowadzić tutaj, żeby pracował przy naszej chatce, tak jak pomagał Jakóbkowi — odparł Janek — Powiedz że nam, Jakóbku, kto zrobił chatkę tak szybko i zręcznie? Daję ci słowo, że nie powiemy nikomu.

— Chcecie mię namówić abym popełnił niewdzięczność względem tego, który według waszego przekonania śmiałby żal do mnie za zdradzenie tajemnicy! zawołał Jakóbek z ożywieniem.

Leoś roześmiał się nieszczerze i rzekł szyderczo.

— Patrzcie mi jaki wymowny siedmiolatek!.. Ale zmusimy go do wyznania prawdy!

— Nie, Leosiu, Jakóbek ma słuszność. Chciałem go namówić do popełnienia niedyskrecji i źle postąpiłem — ujął się za młodszym braciszkiem Janek.

— W każdym razie to niemiła rzecz być podstępnie oszukanym przez takiego malca — bronił się Leoś.

— Nie zapomnij o tem, że go wydrwiwałeś i miał prawo ci dowieść... zaczęła Zosia.

— Czego dowieść?.. przerwał jej Leoś niecierpliwie.

— Że ma więcej rozumu od ciebie! — dokończyła żywo Stokrotka — że może zażartować nawet z twojej mądrości, o której myślisz zbyt wiele!

— O! bądźcie pewne, że potrafię uszanować mądrość i spryt waszego protegowanego!.. odciął Leoś.

— Który nie będzie chował się za innym w razie

niebezpieczeństwa — zawołał Jakóbek.

— Co chcesz tem powiedzieć, zuchwalcze? Do kogo stosujesz te słowa? rzekł Leon, głos podnosząc.

— Do tchórza i samoluba — odparł Jakóbek, patrząc prosto w oczy Leosia.

Kamilka w obawie, aby ostra wymiana zdań nie doprowadziła do poważnej zwady, wzięła Leosia za rękę i powiedziała łagodnie:

— Tracimy czas napróżno, a ty najstarszy i najrozsądniejszy z nas kieruj nami, aby nasza chatka była jaknajśpieszniej ukończoną. Wyznacz każdemu robotę, zabierzemy się zaraz do dzieła.

— Ja też jestem na twoje rozkazy! odezwał się Jakóbek, który już ochłonął z gniewu i żałował swej porywczości.

Leoś uspokoił się, ujęty ostatniemi słowami Jakóbka i rozdał każdemu narzędzia, wskazując co ma robić. Dwie godziny trwała spokojna praca, ale trzeba przyznać, że nie było wielkiej dokładności w jej wykonaniu, pomimo najlepszych chęci całego zespołu. Ostatecznie zmęczeni i spoceni pozostawili dalszy ciąg na dzień jutrzejszy.

Jakóbek pobiegł wprost do ojca, który powitał go wesołym okrzykiem:

— Och, mój Kubusiu, dobrze nas przycisnęli! Omal nie złapano mię na gorącym uczynku! W każdym razie robota posunęła się ogromnie. Prosiłem Marcina, żeby podczas obiadu dokończył resztę. Zobaczysz jutro ich zdziwienie, gdy przekonają się, że chatka już gotowa.

— A ja cię bardzo proszę, tatusiu, żebyś kazał dokończyć chatkę moich siostrzyczek i Leosia.

To mówiąc Jakóbek zarzucił ręce na szyję ojca i przytulił główkę do jego piersi.

— Jakto? Tak chodziło tobie o to, aby dać nauczkę Leosiowi, a teraz sam prosisz o porzucenie twojej roboty dla niego?

— Tak, tatusiu, ponieważ źle z nim postąpiłem, powiedziałem przykre słowo, za które powinienby mnie obić porządnie, a on nawet się nie oburzył i nie nawymyślał.

Jakóbek opowiedział ojcu całe zajście w ogrodzie, poczem ojciec zapytał:

— Dlaczegoż nazwałeś go tchórzem i samolubem? Czem na to zasłużył?

— Bo dziś rano gdyśmy byli w lesie Kamilce i Madzi wydało się, że w krzakach są ukryci złodzieje lub też wilki czyhają na zdobycz. Janek rzucił się śmiało naprzód, a Leonek miał minę wystraszoną, cofnął się zamiast pomagać Jankowi w obronie. To właśnie miałem mu do zarzucenia i, co prawda, niepotrzebnie wyrwałem się z tem powiedzeniem, bo musiało mu to zrobić wielką przykrość.

— Dobry z ciebie chłopak, mój Jakóbku, odrzekł ojciec całując synka. Zrobię więc tak, jak sobie życzysz i każę dokończyć ich robotę, która jakoś idzie niesporo.

Jakóbek uradowany pobiegł do młodego grona, rozłożonego teraz na trawie.

Nazajutrz gdy wszystkie dzieci udały się do gaiku przylegającego do ich ogródka i zamierzały pracować dalej nad budową chatek, zostały mile zdumione, widząc że obie chatki są już ukończone i mają już nawet drzwi i okna

wstawione.

— Jakim to cudem nasza chatka jest tuż skończona? zawołał Leonek.

— Bo już czas był zakończyć żarcik, który mógłby się stać kością niezgody pomiędzy wami — odezwał się ojciec Jakóbka. Mój synuś opowiedział mi co zaszło wczoraj i prosił, aby dopomóc waszym usiłowaniom tak samo, jak to robiłem dla niego z samego początku. Zresztą — dodał, śmiejąc się — obawiałem się drugiej pogoni jak wczorajsza. Janek już był tuż tuż przy mnie i gdyby mu Jakóbek nie stanął na drodze, byłbym wpadł w jego ręce. A ty, Leonku, przebiegłeś obok mnie, schowanym w krzaku.

Wujek świetnie biega!.. zawołał Janek z zachwytem. Tyleśmy się nalatały i nieudało się nam dogonić ani nawet dostrzedz wujka!

— Za młodych lat byłem jednym z najlepszych gimnastyków i przebiegałem niestrudzenie olbrzymie przestrzenie. Coś niecoś z tej chyżości zostało nie[1] jeszcze w nogach — dodał pan Troypi z uśmiechem.

Dzieci podziękowały wujkowi za ukończenie ich żmudnej pracy. Leoś ucałował małego Jakóbka a ten cichutko prosił go o przebaczenie.

— Nie mówmy o tem — odrzekł Leoś, z rumieńcem na twarzy — gdyż w gruncie rzeczy czuł się winnym względem małego braciszka i chciałby, aby ta sprawa poszła w zapomnienie.

Teraz jeszcze należało umeblować chatki. Posłużyły ku temu stare krzesła, stoliki, kawałki firanek, trochę ponadbijanej po brzegach porcelany. Wszystko to skrzętnie

zostało zebrane i ustawione gustownie. Nawet nie zabrakło kanapki i dywanów. Dziewczątka dostały zapasy konfitur, biszkoptów, czekolady, chłopcy wyprosili chleba, masła, szynki i jajek ze śpiżarni. Urządzano sobie podwieczorki, częstując się nawzajem. Codziennie przybywało coś do małego gospodarstwa. Pod koniec wakacji nastąpiły jeszcze ulepszenia. W szpary pomiędzy deskami nałożono mchu, żeby nie przewiewało; dach również mchem był zabezpieczony. Ubitą ziemię posypano cienką warstwą piasku. Przy oknach zawieszono firanki. Powoli wszystkie kajety i książki zostały przeniesione do tej ulubionej siedziby dziecinnej i nieraz odbywały się tam lekcje, podczas których pilność zarówno dziewcząteк jak chłopców była bez zarzutu. Uczono się w chatkach daleko lepiej, niż w każdym innym zakątku.

Gdy nadeszła pora rozstania i braciszkowie z rodzicami mieli odjechać do miasta, żałowały dzieci ogromnie, że już koniec wakacji, a do najmilszych o nich wspomnień, należały „chatki w lesie“. Tymczasem jednak ów koniec był jeszcze daleki, dzieci miały prawie półtora miesiąca przed sobą, miano więc dość czasu do zabawy.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: Sophie de Ségur i tłumacza: Natalia Dzierżkówna.*

1. ↑ Błąd w druku; zamiast *nie* winno być *mi* lub *mnie*?

Wycieczka do młyna.

Pani Marja ze wszystkimi swoimi gośćmi udała się pewnego dnia do młyna. Miano oglądać nowy mechanizm wprowadzony od niedawna. Dzieciom pozwolili rodzice bawić się na trawie pod lasem, gdzie podano następnie dobry, wiejski podwieczorek, składający się ze śmietany, razowego chleba, masła i sera. Świeży powiew lasu ochładzał powietrze. Dziewczątka rwały kwiaty, zbierano leśne poziomki i rozmawiano wesoło.

— Tu jest właśnie niedaleko ów dąb, pod którym zostawiłam kiedyś lalkę — zawołała Stokrotka. Tę lalkę skradła mi Joasia ze młyna. Żebyś wiedział, Jakóbku, jak ją matka za to biła! Krzyk Joasi słyszałyśmy, będąc o jakie dwieście kroków od młyna.

— Czy przynajmniej poprawiła się po tej awanturze? zapytał Jakóbek, wysłuchawszy szczegółowo opowiedzianej przez Stokrotkę historję o skradzionej i odnalezionej lalce.

— O nie, nie poprawiła się wcale, wtrąciła Zosia. Joasia jest najgorszą dziewczyną w szkole.

— Mama powiada, że jest złodziejką — rzekła Stokrotka.

— Ach jak to niedobrze jest, Stokrotko, powtarzać takie rzeczy! zawołała Kamilka. Może Joasia się poprawi, na co mają wiedzieć wszyscy o jej złych skłonnościach?

Nieopodal młyna dzieci zobaczyły gromadę ludzi.

Widocznie coś się tam stało niezwykłego, gdyż wszyscy byli mocno podnieceni, słychać było przekleństwa i podniesione głosy. Kilku policjantów uwijało się wśród zebranego tłumu.

Okazało się, że młynarkę i jej córkę Joasię zaaresztowano z powodu kradzieży płótna, położonego na trawie do bielenia. Płótno przywłaszczone przez młynarkę, ukryte było pod mąką. Joasia, wiedząc o tem, odcięła ukradkiem spory kawałek i na swoją rękę spróbowała sprzedać na jarmarku. Zwróciło wszakże uwagę zamoczone płótno, znalazła się właścicielka, która rozpoznała zrobiony przez siebie znak na brzegu płótna i tak po nitce do kłębka, dowiedziano się, że złodziejkami były młynarka i jej córka, gdyż udało się policjantom wyciągnąć całą sztukę płótna ukrytego pod mąką, a skradzionego u kumy Marcinowej. Cała ta przykra awantura sprawiła, że towarzystwo pani Marji cofnęło swój zamiar oglądania młyna i wszyscy po spożyciu podwieczorku na trawie udali się do lasu, gdzie postanowiono zabawić się w chowanego. Starsi i młodzi mieli wspólnie należeć do tej zabawy na określonej przestrzeni.

— Tylko proszę bardzo nie włazić na drzewa — upominała pani Marja.

Dwie osoby szukało innych, ukrywających się wśród krzaków. Ojciec Jakóbka trafił na Kamilkę i Janka, już miał ich pochwycić, ale wymknęli się zręcznie i dobiegli do mety, zanim zdołał ich dogonić. Stokrotka i Jakóbek nie dali się też złapać i pani Marja zmęczyła się bardzo, chcąc ich schwytać. Leoś i Madzia, zaraz po odkryciu ich

kryjówki, pomknęli lotem strzały i oparli się aż koło drzewa, stanowiącego kres pogoni. Starsi biegali z różnym szczęściem, ztąd dużo było śmiechu, wyszukiwania i gonienia się, jednej tylko Zosi brakowało. Nikomu nie udało się dotąd jej odnaleść.

— Zosiu! Zosiu! Odezwij się! wołano, ale nie było żadnej odpowiedzi.

Pani Marja zaczęła się niepokoić. Wszyscy rozpoczęli poszukiwania, idąc grupami.

Trwało to dość długo. Wreszcie Janek, idący z mamusią Stokrotki, usłyszał jakby jęk przyciszony. Zatrzymali się, nasłuchując.

— Na pomoc! Na pomoc! Ratujcie mnie, zabrzmiał teraz wyraźnie głosik w pobliżu!

— Gdzie jesteś, Zosiu? krzyknął Janek przerażony.

— Tu jestem tuż koło ciebie we wnętrzu drzewa — odpowiedział głos jakby z pod ziemi.

Na wołanie pani Rosburgowej zbiegli się wszyscy, dopytując co się stało?

— Wpadłam w dziuplę, duszę się! Umrę, jeżeli mnie stąd nie wyciągniecie, mówiła Zosia rozpaczliwie.

Janek zastanowiwszy się przez krótką chwilę, szybko wdrapał się na drzewo.

— Co robisz? krzyknął Leoś. Drzewo jest spróchniałe. Wpadniesz w otwór, tak samo, jak Zosia i ją zadusisz. Zejdź natychmiast! — mówił, — ale Janek z niezwykłą zręcznością wznosił się w górę, chwytając się gałęzi.

Jakóbek, nie wiadomo jak i kiedy znalazł się obok Janka ku strapieniu rodziców. Janek widział już z góry Zosię na

dnie głębokiego dziupła.

— Sznura, coprędzej sznura! wołał odważny chłopak.

Leoś, Kamilka i Madzia pobiegli w stronę młyna, żeby dostać sznura, tymczasem Jakóbek, który trzymał w ręku marynarkę, rzuconą przez Janka i swoją własną, podał mu je w mgnieniu oka. Janek zrozumiał, związał rękawy, wrzucił swoją marynarkę w otwór drzewa, trzymając mocno w ręku marynarkę Jakóbka i tworząc w ten sposób na poczekaniu sznur ratunkowy.

— Pochwyć, Zosiu, z całej siły ten koniec, oprzyj się nóżkami o pień wewnętrzny drzewa, uważaj dobrze, aby się nie ześlizgnąć, gdy będę ciągnął w górę.

Janek mówił szybko, dobitnie. Jakóbek dopomagał mu jak mógł, ale szczęściem ojciec przybył w porę dla wyswobodzenia dziewczynki, której twarzyczka blada i zmieniona do niepoznania pod wpływem strachu ukazała się wreszcie nad brzegiem otworu. W tej chwili sznur przygodny zechrzęściał, słychać było pęknięcie materjału, Zosia krzyknęła przeraźliwie. Janek pochwycił ją jedną ręką, ojciec drugą i wyciągnęli ją z więzienia, które mogło stać się jej grobem.

Jakóbek ześlizgnął się pierwszy na ziemię, za nim ojciec Janka posuwał się ostrożnie, trzymając w ramionach Zosię na wpół zemdloną, ostatni schodził Janek, zręcznie trzymając się gałęzi.

Wszystkie panie otoczyły uratowaną dziewczynkę. Stokrotka rzuciła się jej z płaczem na szyję. Zosia ucałowała przyjaciółkę, a potem gdy już mogła mówić, dziękowała serdecznie Jankowi i Jakóbkowi za swe

ocalenie.

Nadbiegli właśnie na tę chwilę Kamilka, Madzia i Leonek, dźwigając gruby i długi sznur ze młyna. Zosia uśmiechnęła się na ich widok, obejmując wszystkich pełnym wdzięczności ruchem.

— Teraz gdy już niebezpieczeństwo minęło i jesteśmy wreszcie uspokojeni, niechże Zosia opowie nam w jaki sposób wpadła w tę pułapkę? rzekła pani Marja z zaciekawieniem.

— Chciałam ukryć się lepiej od innych — rozpoczęła Zosia zawstydzona — stanęłam za wielkim dębem, myśląc że okręcając się dokoła potrafję ujść niedostrzerzona.

— To wcale niedobry sposób — przerwała pani Marja. Pochwyciłam z łatwością Madzię i Leosia, którzy tak samo okrążali drzewo, ale potem nie mogłam już ich dogonić, gdy popędzili do mety.

— Widziałam właśnie jak pani znalazła Madzię i Leosia i umyśliłam schować się lepiej. Gałęzie drzewa opadające aż do ziemi dopomogły mi leść coraz wyżej.

— Chciałaś więc oszukać, choć wiedziałaś, że zabroniono nam włazić na drzewa — wtrąciła Stokrotka.

— I Pan Bóg cię ukarał za to — dodał Jakóbek.

— Tak, niestety, zostałam sprawiedliwie ukaraną — odrzekła Zosia z westchnieniem. Z gałęzi na gałąź dostałam się do miejsca, w którem pień drzewa rozdzielał się na kilka grubszych gałęzi. W środku było wydrążenie, pokryte suchemi liśćmi. Sądziłam że będę tam bezpiecznie ukryta. Zaledwie jednak postawiłam nogę na tych liściach, zapadłam głęboko i już nic nie widziałam dookoła siebie.

Krzyczałam co sił starczyło, ale nikogo nie było w pobliżu, a głos mój był przytłumiony, jakby wychodził ze studni.

— Biedna Zosia! Jakże musiałaś być przerażoną, jakie znosiłaś męki! zawołał Janek ze współczuciem.

— Byłam jakby zmartwiała ze strachu. Myślałam, że mnie nikt nie odnajdzie, a wszystkie wysiłki dania znać o sobie nie na wiele się przydały. Słyszałam nawoływania i kroki przechodzących obok mnie, ale czułam, że głosu mego nie słyszą i dopiero poczciwy i odważny Janeczek jakoś przypadkiem usłyszał i uratował mnie z pomocą miłego naszego Jakóbka.

— I to właśnie był jego pomysł, związanie ubrania, żeby cię wyciągnąć jak najprędzej — dodał Janek.

— Jakóbek jest jako lew śmiały! zawołała Stokrotka, całując małego chłopaczka.

— Raczej można by go porównać do wiewiórki z powodu ruchliwości i umiejętności łażenia po drzewach — zaważył Leoś z miną drwiącą. Stokrotka oburzyła się i odrzekła:

— Każdy ma swój sposób okazania ruchliwości: jedni wdrapują się na drzewa, bez obawy poniesienia śmierci przy nagłym upadku, inni uciekają jak zające w obawie, że je zabiją.

— Stokrotko! Przestań, proszę cię, rzekła jej mamusia, widząc, że porywczość dziewczynki ją unosi i może z tego powodu wyniknąć zatarg niepożądany.

— Ależ, mamusiu, Leoś chce wyraźnie zmniejszyć zasługi Jakóbka, a przecież sam nie skoczył na ratunek Zosi, choć jest z nas najstarszy — tłómaczyła się Stokrotka.

— Musiał ktoś przecież pójść po sznury — odparł Leoś niechętnie.

— Obeszło się doskonale bez twoich sznurów — odburknęła Stokrotka.

— Nie kłóćcie się dzieci — rzekła pani Marja łagodnie — nie daj się unosić gniewowi Stokrotko, ani ty, Leosiu, nie bądź zawistnym. Podziękujmy Bogu za szczęśliwe ocalenie Zosi z niebezpieczeństwa, na które naraziła się z własnej winy. Wracajmy teraz do domu, już jest późno i wszystkim odpoczynek się należy.

Starsze i młodsze towarzystwo pośpieszyło na wezwanie. W drodze powrotnej rozmawiano jeszcze z ożywieniem o wypadkach dnia i każdy miał jeszcze jakieś słówko do dorzucenia.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: Sophie de Ségur i tłumacza: Natalia Dzierżkówna.*

Niespodziane spotkanie

— Ogromnie lubię las wiodący do młyna — rzekł pewnego dnia Leoś w rozmowie z siostrami.

— A ja go wcale nie lubię! odezwała się Zosia.

— Dlaczegoż to? Las jest prześliczny — wtrącił Janek.

— Ale zawsze tam zdarza się jakaś nieszczęśliwa przygoda — odrzekła Zosia.

— Nie znajduję tego. Wybornie się w nim zabawić można — mówił Leoś, lubiący zawsze przeczyć.

— Być może, ale co do mnie nie bawiłam się dnia tego, gdy omal się nie udusiłam w ohydnej dziurze...

— To była twoja wina.

— Nie przeczę, w każdym razie jednak przeniosłam straszne męki — zapewniała Zosia, wzdrygając się na przykre wspomnienie.

— Czy ci było tak niewygodnie? wypytywał Leoś.

— Przecież powiadam tobie, że mało się nie zadusiłam.

— Nie mogłaś się udusić, gdyż powietrze dochodziło do ciebie z góry.

— Ależ byłam na samym dnie otworu, ściśnięta ze wszystkich stron korą drzewa.

— O, jabym tam sobie dał radę! przechwalał się Leoś.

— Chciałabym to widzieć! zawołała Zosia zniecierpliwiona.

— Nie potrzebowałbym niczyjej pomocy dla wydobycia się z tej dziury, ręczę za to — dodał Leoś z wielką

pewnością siebie.

— Ee! Chwalisz się, mój drogi, niewiadomo jakby to w praktyce wyglądało — rzekł Janek, śmiejąc się.

— Nic łatwiejszego, niż spróbować — zawołał z żywością Jakóbek.

Chodźmy teraz do lasu, niech Leoś wejdzie na drzewo i spuści się do otworu, z którego wyciągnęliśmy Zosię, ale jemu pomagać nie będziemy: niech sam sobie daje radę. Czy zgoda?

— Naturalnie zrobiłbym to bez wahania — mówił Leoś niepewnym tonem — tylko nie wiem czy...

— Czy co?

— Czy... czy nie przerażą się moje kuzyneczki, które mogłyby się obawiać!..

— Czego by się miały obawiać, wiedząc, żeś tak odważny, jak o tem zapewniałeś przed chwilą — podchwycił Jakóbek.

— Czemu sam nie spróbujesz, a tylko innym doradzasz? odburknął Leoś z niezadowoleniem.

— Ee moim zdaniem takie spuszczenie się w spróchniałe drzewo nie jest wcale przyjemnem a przy tem jest niebezpieczne, miałbym stracha, odrzekł Jakóbek.

— Stracha, ty? który zawsze udajesz zucha? Gotów rzucać się w największe niebezpieczeństwa o ile one nie istnieją, bo Jakóbkowi chodzi tylko o pozyskiwanie rozgłosu niezwykłej dzielności i męstwa — mówił szyderczo Leoś, zwracając się do Janka, ale ten ujął się wnet za niesprawiedliwie osądzonym i zawołał:

— O tak, Jakóbek mógłby się bać, właśnie dlatego, że

jest prawdziwie mężny, jeśli chodzi o dopomożenie komuś lub ratowanie w niebezpieczeństwie, ale narażanie się bez potrzeby dla fantazji budzić w nim może lęk, a raczej odrazę.

— A ja wam dowiodę, że jestem odważniejszy od Jakóbka — rzekł Leoś. Chodźmy do lasu. W jednej chwili zasunę się w głąb spróchniałego dębu i... Muszę tylko zapytać ojca o pozwolenie.

— He! ha! Dobre sobie! Będzie to sposób wymknienia się z całej sprawy, wiesz bowiem doskonale, że ojciec na takie doświadczenie nie pozwoli.

Janek mówił te słowa tonem drwiącym który draźnił niezmiernie Leosia, gdyż wiedział że go mają za tchórza.

— Ojciec napewno pozwoli, jeżeli będzie tego co i ja zdania, że to nie jest wcale rzecz niebezpieczna. Zaraz przekonacie się.

I to mówiąc, poszedł do sąsiedniego pokoju, w którym panowie rozmawiali z sobą. Dzieci wszystkie weszły za nim.

— Czy mogę, tatusiu, pójść do lasu i wejść do tej kryjówki, z której Zosię wydobyto? Powiada, że omal się w niej nie zadusiła, mówił Leoś jakby podsuwając ojcu myśl niedopuszczenia do tej próby, ale ojciec uśmiechnął się tylko i rzekł:

— A czy nie będziesz obawiał się, że nie zdołasz ztamtąd się wydostać mój Leosiu?

— Nie, tatusiu, niczego się nie ulęknę, jeżeli jednak tatuś nie zabrania...

— Nie zabraniam wcale, tylko przestrzegam, żebyś był

ostrożny.

— Jeżeli tatuś obawia się wypadku, nie będę w takim razie próbował, gdyż nie chciałbym przyczynić najmniejszego niepokoju — ciągnął Leoś, na którego twarzy malowało się wzruszenie. Powiem zaraz dziewczątkom, Jankowi i temu drwiącemu wciąż Jakóbkowi, że tatuś jest przeciwny takiej próbie.

— Źle mnie zrozumiałeś, mój kochany. Sprobój — nic nie mam przeciw temu, nawet sam pójdę z wami, żeby być świadkiem twego śmiałego czynu, bezużytecznego, co prawda, ale który każe zamilknąć złośliwym, posądzającym cię o tchórzostwo.

Leoś, zupełnie zbity z tropu, nie wiedział już jak się wykręcić z niefortunnego przedsięwzięcia. Dziękował ojcu niepewnym głosem za pozwolenie, ale wyraził obawę, czy mama nie będzie się gniewała...

— To ci nudziara! krzyknął ojciec zniecierpliwiony. Jeżeli zezwoliłem, to matka też napewno się zgodzi. Chodźmy więc zaraz. Czy idziesz z nami? zapytał uprzejmie szwagra, który przystał z wesołym uśmiechem. Dzieci zatrzymały się nieopodal drzwi i, wysłuchawszy rozmowy, były nieco zaniepokojone.

— Wujaszku — szepnęła Kamilka — korzystając z tego, że Leoś wybiegł po kapelusz — czy to nie będzie wielką nieostrożnością pakować się do tego drzewa?

Wujaszek roześmiał się i pogładził siostrzeniczkę po głowie.

— Nie lękaj się, moja mała, rzekł po chwili. Wysłuchaliśmy całej waszej rozmowy i dla ukarania Leosia

za jego tchórzostwo i przechwałki nakłaniam go do tego odważnego czynu, którego napewno nie wykona. Nie dopuściłbym nawet do tego, gdyż Leoś będzie dostatecznie ukarany podczas trwania przechadzki. Widzisz jaki blady schodzi ze schodów!

Istotnie wygląd Leosia był godnym politowania. Drżał nerwowo, jakby szedł na ścięcie.

— Niech wujaszek pozwoli uspokoić go trochę — szepnęła Kamilka — powiem mu że wujaszek w ostatniej chwili nie dopuści do wskoczenia w drzewo...

— Nie, Kamilko, muszę dać mu nauczkę, której bardzo potrzebuje. Pozwalam ci tylko uprzedzić tamte dzieci. Powiedz im, że nic nie grozi Leosiowi.

Poszli wszyscy razem do lasu. Dzieci były strapione, ale powoli pod wpływem słów Kamilki rozjaśniły się oblicza. Rozmawiali z sobą półgłosem, śmieli się nawet ukradkiem spoglądając na Leosia, któremu docinali z lekka z powodu jego przechwałek bez miary. Teraz przymilkł zupełnie. Nie widząc innego wyjścia, oddzielił się nieznacznie od reszty towarzystwa i zboczył na ścieżynę, gdy wszyscy szli prostą drogą. Ojciec zauważył ten wybieg i szepnął do szwagra:

— Co teraz począć? Nie wiem jak wybrnąć z tej sytuacji?

Ojciec Jakóbka zawsze potrafił znaleźć radę.

— Udawaj, że go szukasz — odpowiedział — a znalazłszy zawstydź, iż jest tchórzem i namów, aby wlazł na drzewo. Gdy to wykona, ja go powstrzymam, mówiąc że niebezpieczeństwo, w jakiem znalazła się Zosia, było bardzo poważne i ryzykować mu nie radzę.

Przybywszy na polankę pod dębem dzieci zauważyły dopiero nieobecność Leosia. W tej chwili dał się słyszeć krzyk przerażenia pochodzący z krzaku, za którym Leoś był ukryty. Ojciec i wuj chcieli iść w tę stronę, ale jednocześnie wybiegł Leoś, jak szalony, a zanim ukazał się człowiek dość nędznie ubrany, trzymający gruby kij w ręku. Poszedł skłonił się i na zapytanie co się stało? opowiedział spokojnie:

— Nie pojmuję doprawdy dlaczego młodziutki panicz tak bardzo był wystraszony. Usnąłem pod drzewem i obudziwszy się ujrzałem o parę kroków odemnie tego paniczka skulonego pod krzakiem. Nie zauważył ani mnie, ani też żmii jadowitej, która dotykała już prawie jego nogi. Nie miałem czasu uprzedzić o niebezpieczeństwie, lecz chwyciłem szybko w ramiona, zanim żmija zdołała wbić żądło w ciało i postawiłem chłopca na ścieżynie. Wtedy krzyknął nie swoim głosem, jakby go djabeł porwał i pobiegł przed siebie zupełnie, jakgdyby goniony przez nieczyste siły.

Ojciec Leosia nie dziwił się temu, pewno syn przerażony sądził, iż wpadł w ręce bandyty, dopiero widok znajomych twarzy uspokoił chłopca. I wujaszek i tatuś wstydzili się Leosia i rozmawiali z nim chwilę na uboczu, dzieci tymczasem przyglądały się nieznajomemu, zwłaszcza Zosia nie mogła oczu oderwać od jego twarzy. Jakieś mętne wspomnienia budził w niej ten człowiek, głos jego zdawał się znany. On również utkwił spojrzenie na drobnej postaci, jakby rozjaśniło mu się nagle w myślach i rzekł wzruszony:

— Przepraszam bardzo państwa, ale mi się wydaje, że ta

paniusia jest panną Zofją de Réan.

— Tak jest — odpowiedziała Zosia. To moje prawdziwe nazwisko. I mnie się coś przypomina... to było już dawno!.. Czy nie podczas rozbicia okrętu? Wiem już! Nazywano pana Normandczykiem.

— Tak, panienko. Jakże się to stało, że panienka ocalała?

— Tatuś mnie uratował, niemam pojęcia w jaki sposób. Nie wiem też nic, co się potem zrobiło z biednym Pawełkiem? Został zdaje się przy kapitanie?

— Jakże jestem szczęśliwy, że widzę panienkę zdrową! A byłem pewien, że pochłonęło ją morze! wołał przybysz uradowany.

Dzieci nie mogły wyjść z podziwienia dlaczego ów nieznajomy nazywa Zosię panną de Réan, dotąd bowiem znano ją pod nazwiskiem Fiszini. Nigdy też nie było mowy o jej przygodach na oceanie. Leoś ogromnie ucieszył się, że ogólna uwaga zwrócona była teraz na Zosię i nieznajomego i przestano zupełnie nim się zajmować. Zosia w dalszym ciągu wypytywała Normandczyka.

— Nie mówi pan, co się stało z biednym moim Pawełkiem? Czy może zginął wraz z okrętem?

— Nie, panienko. Gdy komendant zobaczył oddalające się szalupy, wiele strat w ludziach, gdy już nikt nie pozostał prócz mnie ze służby okrętowej, zburczał mię za to, żem nie starał się uratować wraz z innymi. „Nie opuszczę mego komendanta ani tej naszej skorupy do ostatniego tchu“ odpowiedziałem stanowczo. Uścisnął mą rękę, popatrzył tkliwie na Pawełka, który tulił się do jego kolan, płacząc „Teraz my z naszej strony starajmy się jakoś wydostać.

Okręt w przeciągu godziny najdalej zatonie, rzekł do mnie. Zbiliśmy tratwę na poczekaniu, umieściliśmy na niej, co się jeszcze uratować dało, suchary, świeżą wodę, komendant zabrał swą busolę i siekierę za pas włożył. Na ręku trzymał mocno Pawełka, wskakując na tratwę. Zacząłem wiosłować. Widziałem jak komendant otarł łzę, gdyśmy się już oddalali od opuszczonego okrętu, a potem rozglądnął się dokoła, badał chwilę gwiazdy, ukazujące się na niebie i rzekł: „Nie jesteśmy zbyt daleko od ziemi. Wiosłuj dobrze, ale nie męcz się zbytnio, a gdy będziesz znużony, to cię zastąpię.

— Ale proszę mi powiedzieć, co mówił, co robił biedny Pawełek? pytała Zosia.

— Prawdę mówiąc nie bardzo na niego zwracałem uwagę. Pamiętam tylko, że wciąż płakał, a komendant uspokajał go, jak mógł. Wiosłowaliśmy naprzemian aż do rana. Nagle komendant krzyknął: „Ziemia„! Zbliżaliśmy się do lądu, który wydawał mu się wyspą. Przybiliśmy szczęśliwie do brzegu. Zobaczyliśmy zieleń i drzewa. Tak oto Bóg łaskawy nas uratował.

— Więc Pawełek nie umarł? Gdzie jest obecnie? dopytywała Zosia.

— Tego nie umiem powiedzieć. Dzicy zabrali nas i uprowadzili komendanta z Pawełkiem w jedną, a mnie w drugą stronę. Udało mi się umknąć od tych czerwonoskórych. Cztery lata żyłem samotnie w lasach, wreszcie okręt angielski zabrał mię do Europy. Z Hawru powróciłem do rodzinnych stron, aby odszukać swoją żonę i dziecko, ale dotąd nie natrafiłem na ich ślady.

Wszyscy słuchali z zajęciem opowieści, w której odczuwało się prawdę szczerą, a gdy żeglarz przestał mówić, dzieci poczęły zasypywać Zosię pytaniami bez końca.

Wszystko, co się działo przed pięciu laty, wydawało się już bardzo odległe i trudno jej było dobrze zdać sobie sprawę z wielu szczegółów własnego nie długiego życia.

— Dlaczego nazywają ciebie Zosią Fiszini nie właściwem nazwiskiem? pytał Jakóbek.

— Nie wiem napewno, ale zdaje się, że tatuś był w Ameryce dla odwiedzenia przyjaciela z lat dziecinnych, pana Fiszini, który pozostawił duży zapis na imię ojca, z warunkiem, że przyjmie jego nazwisko.

Zosię niepokoił teraz najwięcej los Pawełka.

— Możliwe, że go zjedli dzicy — odezwał się Leoś.

Zosia krzyknęła przerażona, a Janek powiedział z gniewem.

— Jak możesz pleść takie głupstwa, które mogą gorzej jeszcze zasmucić biedną Zosię!

Jakóbek spojrzał na Leosia pogardliwie. Dziewczątka całowały i uspokajały swą przyjaciółkę, zapewniając, że Pawełek napewno żyje i odnajdzie się niebawem.

— Moje dzieci — rzekł pan de Rugis, ojciec Leosia i Janka — proszę was nie wspomnijcie ani jednem słowem pani Rostburgowej o spotkaniu z tym człowiekiem, którego prawdziwe nazwisko brzmi Lecomte. Muszę ją wpierw do tego przygotować, gdyż komendantem „Sybilli“ był właśnie jej mąż.

— Mój tatuś? wykrzyknęła Stokrotka niechże ten pan

opowie mi jeszcze o nim!..

Normandczyk zbliżył się, a gdy mu powiedziano, że ma przed sobą córeczkę komendanta, schwycił Stokrotkę, uniósł w górę i ucałował gorąco.

— Życie bym oddał chętnie za naszego zacnego komendanta — zawołał z uczuciem głębokiego przywiązania.

— Podobno nazywa się pan Lecomte? rzekła Stokrotka. Poszukuje pan swojej żony i dziecka. Czy przypadkiem nie miała córka pana na imię Lucynka?

— O tak! Musi mieć teraz rok pietnasty. Czyżby panienka coś o niej wiedziała? — odparł Lecomte zdumiony.

— W takim razie nie potrzebujesz pan szukać daleko — odezwała się Madzia — Lucynka z matką mieszkają w tym białym domku, który widać zdaleka.

Lecomte wpadł w szał radości usłyszawszy tę nowinę. Zdawało się, że zupełnie przytomność traci. Chciał biec co tchu we wskazanym kierunku, ale pan de Rugès powstrzymał go, mówiąc:

— Zastanów się pan, że od lat pięciu silne wrażenie mogłoby zabić twoją wątłą żonę, gdybyś ukazał się jej znienacka. Pójdziemy wszyscy razem. Tak będzie lepiej.

Po drodze dziewczątka opowiedziały chłopakom jak znalazły w tym samym lesie biedną Lucynkę, zrozpaczoną chorobą i niedolą matki; jak pani Rosburgowa dopomogła im urządzić się w białym domeczku, dowiedziawszy się, że ojciec Lucynki nazywa się Lecomte i służył na fregacie „Sybilla“, którą pan Rosburg dowodził.

Gdy podeszli już do wioski o sto kroków od białego domku, panowie Rugès i Fraypi prosili żeby Lecomte się zatrzymał wraz z dziećmi, a sami poszli pierwsi oznajmić ostrożnie ważną nowinę.

W tym czasie Lucynka wracała do domu i stanęła przechodząc obok dziewcząteк, gdyż uderzył ją niezwykle uroczysty wyraz ich twarzy.

— Czyżby to była ona?.. wyrwało się z ust żeglarza, Lucynka?..

Lucynka zadrżała i spojrzała uważnie na obcego człowieka, którego z początku nie zauważyła, ale głos znajomy uderzył ją odrazu.

— Czy podobna?... Czyżby... szeptała blednąc i czerwieniąc się naprzemian.

— Twój ojciec, dziecko najdroższe wykrzyknął Lecomte, chwytając ją w ramiona.

— Co za szczęście! Co za radość! powtarzała Lucynka tuląc się do niespodzianie odzyskanego ojca.

— Poznałbym ją pomiędzy tysiącem innych!.. zapewniał uszczęśliwiony Lecomte, patrząc na wzruszone tą sceną dzieci.

— I tatuś też nie bardzo się zmienił — mówiła Lucynka. — Myślałam często o tatusiu, miałam go ciągle przed oczami. Muszę zaraz zawiadomić mateczkę, że tatuś wrócił.

— Tylko ostrożnie, moje dziecko drogie; już tam poszli panowie oznajmić o moim przybyciu.

Lucynka wpadła do izdebki matczynej i rzuciwszy się matce na szyję, wołała:

— Jakże jestem szczęśliwa! Jak niezmiernie szczęśliwa!

Matka spojrzała na nią zdumiona, potem zwracając się do obecnych panów, rzekła:

— Słyszałam w tej chwili pocieszające słowa o radości odzyskania zaginionych... Zaczynam rozumieć! Pewno otrzymali państwo wiadomość o moim mężu... Powiedźcież mi, na Boga, gdzie on jest?

— Tu przy tobie, moja Franiu, zawołał Lecomte, który idąc za Lucynką, zatrzymał się chwilę przy drzwiach otwartych i słysząc pytanie żony, nie mógł dłużej powstrzymać się, aby nie powitać ukochanej. Porwał ją w objęcia, lecz krzyk rozpaczliwy wydarł się z jego piersi, widząc, że słania się blada jak trup i nie mówi ani słowa.

— Zabiłem ją! Zabiłem! — wołał przez łzy. O Boże, ratuj! Franiu, ocknij się! To ja, twój mąż!..

Lucynka przy pomocy panów trzeźwiła zemdloną. Franciszka wkrótce otworzyła oczy. Uśmiech niezmiernej błogości rozjaśnił jej twarz bladą, poczem, gdy spotkała wzrok męża, łzy radości popłynęły z jej oczu.

— Płacze, więc już wszystko w porządku — rzekł pan Ruges. Jesteśmy tu niepotrzebni. Obcy mogą ich tylko krępować.

Wyszli cicho, zamykając drzwi za sobą i zabrawszy gromadkę dzieci, powrócili zwolna do domu, zalecając raz jeszcze, aby nie mówiono przedwcześnie pani Rosburgowej o przybyciu Lecomte’a.

— Możliwe bardzo że i komendant powróci — mówił pan de Fraypi. Widocznie owi dzicy nie są zbyt okrutni, cieszą się tylko, mogąc porwać Europejczyków, którzy ich uczą wielu pożytecznych rzeczy.

Dzieci przyrzekły zachować tajemnicę i pani Rosburgowej nie wspominać o powrocie męża Franciszki. Leoś był uszczęśliwiony, uniknąwszy strofowania, którego się od rodziców spodziewał za okazane tchórzostwo, wszyscy bowiem byli zajęci sprawami większej wagi i nadziejami obudzonemi przyjazdem Lecomte’a.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autora: [Sophie de Ségur](#) i tłumacza: [Natalia Dzierżkówna](#).*

Ze wspomnień Zosieńki.

W pierwszej wolnej chwili dzieci udały się do ulubionej chatki, żeby tam swobodnie pomówić i wysłuchać zapowiedzianego opowiadania Zosi o jej przygodach na morzu.

— Miałam zaledwie lat cztery kiedy to się wszystko działo — rozpoczęła Zosia. — Sądziłam, że mi to już wyleciało z głowy, ale dziś przypominam sobie najwyraźniej jak mamusia jechała zemną do Paryża; Pawełek był też z nami. Tatuś zawiózł nas do jakiegoś miasta portowego. Wsiedliśmy na okręt, tatuś z mamusią i zemną i ciocia Aurelja z wujkiem ze swym synkiem, Pawełkiem. Pamiętam, że twój tatuś, Stokrotko, był bardzo dobry dla nas i ten Lecomte ciągle się też uwijał. Jego twarz doskonale wraziła mi się w pamięć. Płynęliśmy bardzo długo. Naraz usłyszeliśmy jakiś huk straszny i tak mocne uderzenie od spodu okrętu, że wszyscy się przerazili. Krzyk, wrzask był niesłychany, biegano w różne strony, padano na kolana. Ojciec, mama i wujek z ciocią stali na pokładzie. Pawełek uczepił się twego tatusia, Stokrotko, i nie chciał go odstąpić ani na chwilę, gdy ten wydawał rozkazy: „Spuścić szalupy! Prędzej! Prędzej! Prędzej!“ Ojciec schwycił mnie na ręce i chciał wskoczyć do łodzi, w której siedziała już mama, ciocia i wujek ale nie zdążył. Pamiętam, że wołałam: „Poczekajcie na nas!“ Łódź przepełniona ludźmi już była daleko. Ojciec był strasznie

blady i nie mówił ani słowa, patrzył tylko na mnie ogromnie smutnemi oczami. Mamusia i ciocia krzyczały rozpaczliwie. Zosiu! Pawełku! Mój mąż! Moje dziecko! Nie trwało to długo. Olbrzymia fala pogrążyła łódź w morze. Nie pozostało po niej ani śladu. Potem tatuś coś mówił do kapitana, ucałował Pawełka. Lecomte pomógł mu spuścić się na łódeczkę. Wołałam Pawełka, który płakał i ja płakałam rzewnie, ale nic nie pomogło, został na ręku kapitana, a ja płynęłam z tatusiem. Nudziło mi się bez mamusi. Tatuś dawał mi biszkopty i wodę z beczułki. Ciągle był smutny i milczący. Nie wiem jakim sposobem dostaliśmy się na duży okręt. Wówczas tatuś mi powiedział, że Pawełek z kapitanem i Normandczykiem zatoną, podczas uderzenia się statku o podwodną skałę, ale teraz widzę, że zostali uratowani. Ja z tatusiem oparliśmy się w Ameryce tam mieszkaliśmy u pana Fischini, ten umarł i pozostawił podobno testament w którym przeznaczył cały swój wielki majątek memu ojcu i jego siostrze matce Pawełka. Postawił jednak warunek żeby tatuś przyjął nazwisko Fischini i zaopiekował się wychowanicą zmarłego, panną Teodorą. Okazywała ona wiele życzliwości mnie i tatusiowi. Po pewnym czasie tatuś ją zaślubił. Na swoje nieszczęście to zrobił, gdyż jako żona zmieniła się do niepoznania, kłóciła się wciąż, a mnie biła nielitościwie. Miałam nieraz szyję, ręce i plecy we krwi.

Raz pobiegłam na skargę do tatusia, który w najwyższem oburzeniu chwycił szpicrutę i pomścił mnie porządnie. Teodora darła się w niebogłosy, a potem odgrażała się że wszystkie otrzymane uderzenia odda mi w dwójnasób.

Tatuś wziął mnie na ręce i przemawiał tak tkliwie jak nigdy przedtem.

— Jak mogłem tak się omylić! Jak mogłem wybrać ci tak niegodziwą macochę! powtarzał wciąż. Obawiałem się, że gdy umrę pozostaniesz sama jedna na świecie i dlatego tak fałszywy krok zrobiłem. Przebacz mi, dziecinko kochana! Przebacz!

Płakałam razem z tatusiem; obiecał oddać mnie do jakiejś bardzo zacnej pani, która będzie mną się opiekować, ale projekt ten nie przyszedł do skutku. Tejże nocy dostał gwałtownego krwotoku i zmarł, a ja pozostałam nadal przy coraz okrutniejszej dla mnie macosze. Znęcała się nademną, wydalała sługi, które okazywały mi życzliwość i zabroniła pod srogą karą wspominać przed kim bądź o tatusiu i mamusi, jak gdyby ich nigdy nie było.

— Dlaczego taiłaś to wszystko przed nami zapytała Madzia, wzruszona do głębi.

— Nie mając prawa mówić, powoli zapominałam to co przeszłam, a teraz tak mi żywo wszystko stanęło w pamięci, jakby to było wczoraj!

Podczas dość długo trwającej nieobecności dzieci przygotowano panią Rosburgową do wysłuchania opowieści Lecomte’a.. Błysk nadziei wrócił do jej zbolałego serca na myśl, że i jej mąż ukochany i przez tyle lat opłakiwany może odnaleść się jeszcze.

Pan Fraypi postanowił pojechać niezwłocznie do Paryża i zasięgnąć wiadomości w ministerstwie marynarki. Opowiedzieć miał przytem o powrocie żeglarza z zatopionego okrętu i o niewoli Rosburga wśród dzikich.

— Może da się co zrobić? rzekł uprzejmie żegnając dobrą panią Rosburgową, która nie miała dość słów wdzięczności dla pani Marji i całej jej zacnej rodziny.

Po dwugodzinnej prawie rozmowie z Lecomtem, który opowiedział najdrobniejsze szczegóły pobytu swego u boku jej męża, matka Stokrotki nabrała przekonania, że Bóg dobry jej próśb wysłucha i pozwoli po długich troskach i niepokojach odzyskać jeszcze szczęście stracone.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: Sophie de Ségur i tłumacza: Natalia Dzierżkówna.*

Szczęśliwy powrót i opowiadanie Pawełka.

Oczekiwano z upragnieniem powrotu pana Fraypiego z Paryża. Pani Rosburgowa chodziła często ze Stokrotką do białego domku, aby podziwiać panującą tam zgodę i miłość i wysłuchiwać nieskończonych pochwał, dotyczących jej zaginionego męża.

Mijał właśnie trzeci dzień od czasu wyjazdu szwagra pani Marji. Pani Rosburgowa powracała po południu z dziećmi od Lecomte'ów, gdy wydało jej się, że słyszy na ganku głos pana Fraypi'ego. Przyśpieszyła kroku i naraz spotkała się oko w oko z gościem niespodzianym. Był nim ni mniej ni więcej tylko sam komendant Rosburg. Zapanowała ogólna radość. Rozłączeni przez tak długi czas nie mogli dość nacieszyć się swym widokiem. Stokrotka zachwycona była ojcem, którego nie pamiętała prawie, lecz znała doskonale z opowiadań matki. Uściskom nie było końca. Wreszcie zbliżyła się Zosia i zapytała nieśmiało, co się dzieje z Pawełkiem? Czy żyje?

— Pawełek jest duży i śliczny chłopak, moje dziecko, — odparł komendant wesoło — rozpakowuje w tej chwili nasze rzeczy w pokoju dla niego przeznaczonym.

— Więc jest tu?.. Ach! jakże bym chciała zobaczyć go jaknajprędzej tu — wołała Zosia z ożywieniem, a gdy jej wskazano pokój, w którym przebywał, pobiegła

natychmiast, słychać było wybuchy radości, śmiechy i skoki. Wkrótce Zosia przyciągnęła zawstydzonego nieco Pawełka do salonu.

— Chodź, mój chłopcze, nie bój się! Nie jesteś między dzikiemi, nic ci się złego nie stanie — mówił wesoło pan komendant. Zaznajom się ze wszystkimi dziećmi, a oto moja mała córuchna, Stokrotka.

Zrobiło się wielkie zamieszanie. Całowano się, witano, przedstawiano. Szlachetna postać komendanta sprawiła ogólnie jak najlepsze wrażenie. Dzieci spoglądały na niego z podziwem. Pawełek ujął je także za serce swoją szczerością i prostotą.

Po spożyciu wieczornego posiłku pani Marja przerwała dziecinne gawędy, zachęcając do udania się na spoczynek.

— Ach, tatusiu, szepnęła Stokrotka obejmując ojca za szyję, — jak to przykro rozstać się z tobą i pójść spać!

— Przedłużymy jeszcze wieczór, zaniosę ciebie na górę.

To mówiąc komendant wziął córeczkę na ręce i zaniósł jak piórko aż do dziecinnego pokoju.

— Ach, jaki tatuś dobry! Mamusia miała słuszność, gdy to mówiła i wychwalała tatusia pod niebiosa — szczebiotała Stokrotka.

— A co mamusia jeszcze mówiła? dopytywał komendant rozbawiony.

— Mówiła, że tatuś jest najpiękniejszy i najlepszy z ludzi, że nie może być szczęśliwą bez tatusia i dużo, dużo innych rzeczy, których spamiętać nie potrafię.

Pan Rosburg posiedział jeszcze przy łóżeczku Stokrotki, aż dopóki oczęta jej nie zmrużyły się i potem jeszcze

patrzył długą chwilę na uśpioną śliczną dzieweczkę, dziękując Bogu za to, iż dozwolił mu oglądać swoich najbliższych w zdrowiu tak miłem niezmiernie otoczeniu.

Nazajutrz zebrali się wszyscy przy śniadaniu, poczem dzieci zaprowadziły Pawełka do parku, do stajni i obory, a nakoniec do ulubionych chatek. Następnie poszli razem z panem Rosburgiem do domku Lecomte'ów. Dawny towarzysz niedoli omal nie padł plackiem ze wzruszenia ujrzawszy przed sobą uwielbianego swego komendanta.

Po obiedzie dzieci prosiły Pawełka, żeby opowiedział przygody swe na wyspie. Starsi przyłączyli się także do grona słuchaczy. Pawełek rozpoczął w te słowa:

— Wiecie już państwo z opowiadań Zosi i żeglarza Lecomte'a o rozbiciu fregaty „Sybilla", o tem, że rodzice moi i matka Zosi ponieśli śmierć w rozhukanem morzu, zacznę więc od chwili, gdy pozostawszy pod opieką komendanta płynąłem z nim na tratwie w dal nieznaną. Dotarliśmy, dzięki zręcznemu wiosłowaniu, do jakiegoś wybrzeża. Normandczyk stoczył beczułkę z wodą i wyniósł resztki zapasów do jedzenia na ziemię.

Pożywiwszy się nieco poszliśmy szukać cieniu, gdyż słońce mocno dopiekało. Czułem się bardzo zmęczony, ale widząc to komendant wziął mnie na ręce, nie dając wyręczyć się Normandczykowi. Doszedłszy do palmowego lasu, spoczęliśmy pod drzewami. Komendant rozłupał orzech kokosowy siekierą i dał mi go do sprobowania. Znalazłem, że jest wyborny. Normandczyk przyniósł świeże daktyle. Uraczyliśmy się tymi przysmakami. Położyłem się spać. Przez ten czas komendant ze swoim pomocnikiem

urządzili wspaniałe legowisko i rodzaj jadalni, wyłożonej olbrzymiemi liśćmi palmowymi. Nasza beczułka wody i prowizje z okrętu były tu umieszczone. Gdyśmy zajadali w najlepsze dał się słyszeć jakiś szelest. Komendant nakazał nam milczenie. Lecomte został wysłany na zwiady, a mnie pociągnął mój przybrany ojciec za sobą w gęstwinę, żeby nas nie dostrzeżono. Krzyk dzikich dał nam znać, że wpadli do urządzonej naprędce kryjówki, ale nie dostrzegaliśmy ich w pobliżu. Nagle coś mię schwyciło za nogę. „Komendancie ratuj!“ szepnąłem. Spojrzał w dół, zobaczył duże wyciągnięte ręce. W jednej sekundzie trzymał w ręku młodego dzikusa, który padł na kolana i błagał łaski. Wypuszczony, pomknął, jak strzała, ku swoim. „Niema co ukrywać się dłużej“, rzekł komendant i szedł prosto ku dzikim, trzymając w ręku siekierę. Zrąbał nią drzewko, ku zdumieniu obecnych. Potem przeszedł swobodnie między nimi i zawołał mocnym głosem Normandczyka, który wysunął się z gęstwiny.

— Czy sądzisz że to są ludożercy, zapytał komendant.

— Nie wyglądają na okrutnych — odpowiedział Normandczyk.

Poszliśmy nad brzeg morza, dzicy szli za nami w pewnem oddaleniu. Ścinanie drzew siekierą sprawiało na nich silne wrażenie. Komendant kazał im przyciągnąć jedną z łódek, na których przybyli na wyspę, wsiedliśmy wszyscy trzej, a dwóch dzikich wiosłowało wprawnie, reszta płynęła w pirogach za nami. Wylądowaliśmy na jakiejś wyspie.

— Dotąd nie mam pojęcia jak się nazywa, przerwał pan Rosburg, słuchający z zajęciem opowiadania.

— Komendant wynalazł na tej wyspie grotę w skale. Było tam ciemno jak w piecu. Zapalona zapałka olśniła wprost czerwonoskórych. Cisnęli się, by zobaczyć zbliska to cudo, ale komendant kazał im się oddalić, Spałem do rana. Otworzywszy oczy, ujrzałem, komendanta wraz z Normandczykiem stojących u wejścia z siekierami w ręku. Tłum dzikich zmierzał ku nam; na czele szedł ich wódz lub król. Dał znak, żeby się przybliżyć. Obok króla stało dwu chłopczyków mniej więcej w moim wieku. Przybiegli do mnie, skacząc w zabawny sposób. Roześmiałem się, oni również. Złożywszy pocałunek na ręku, przykładali ją do mego policzka, zrobiłem to samo. Radość ich była niedoopisania. Pociągnęli mnie za sobą do króla wołając: „Czihen, czihan, pundż!“ co znaczy, jak się później dowiedziałem, „przyjdź, przyjdź prędko“. Król potarł moje ucho o swoje, kazał przynieść gałązki powoju i przywiązał niemi ramię z każdego chłopców do mojego, jako znak przyjaźni. W ten że sposób król przywiązał do siebie komendanta. Następnie rozpoczęły dzikie harce. Tańczyli wszyscy i my i oni, wreszcie przyniesiono owoce, banany, kokosowe orzechy i ryby suszone, które spożywaliśmy razem z królem, a reszta dzikich siedziała po dziesięciu grupami na trawie.

Król dziwił się bardzo gdyśmy wydobyli nożyki z kieszeni, krajanie niemi owoców wprawiło go w zachwyt. Jednak sam nie miał odwagi spróbować. Poszliśmy potem do osady, tu wódz wskazał nam chatkę, którą dla nas przeznaczył, w końcu przegryzł zębami łączące go z komendantem zielone więzy, połowę zawiązał na swej szyi

i ucieszył się, gdy komendant uczynił to samo. My mali w tenże sposób utrwaliliśmy nasz znak przyjaźni.

Uczyliśmy następnie czerwonoskórych naszej mowy, oni zaś wyjaśniali nam gestami znaczenie swoich wyrazów. W krótkim czasie mogliśmy się wcale dobrze porozumiewać.

— Ach! powiedz że nam Pawełku cokolwiek językiem dzikich ludzi! przerwała Stokrotka.

— Pelka mi hane, ku ru glu.

— To bardzo dźwięcznie brzmi! A co to znaczy? dopytywała Stokrotka, siedząca na kolanach u ojca.

— „Nigdy cię nie opuszczę, przyjaciółko mojego serca“, wyjaśnił Pawełek.

— Breze mi kulisz, na ne hapra — rzekł komendant do Pawełka.

— O, nie, nigdy, nigdy; przysięgam! Odpowiedział chłopczyna.

— Co tatuś mu powiedział? szepnęła Stokrotka zaciekawiona.

— Powiedział mi: „Gdy wyrośniesz zapomnisz o nas“. Ale to nigdy nie nastąpi — dodał Pawełek z mocą. A teraz wracam do mojej opowieści. Wielkie spotkało nas zmartwienie, gdyż porwano nam Normandczyka. A stało się to z powodu owego nieszczęsnego obyczaju dzikiego plemienia zawiązywania tak zwanego „węzła przyjaźni“ o którym już mówiłem. Otóż wódz z wyspy sąsiedniej przybywszy w odwiedziny do króla, zawarł taką przyjaźń z Normandczykiem, który nie wiedząc dobrze o co chodzi, pozwolił przywiązać się gałązką powoju do dzikiego: gdy ten wszakże na odjezdnem zażądał, by mu żeglarz biały

towarzyszył Normandczyk oparł się temu energicznie, nic jednak nie pomogło. Cała gromada czerwonoskórych rzuciła się na niego i siłą wepchnęła do łodzi odpływającego wodza.

Pozostawszy sami, chodziliśmy często na wybrzeże i wyglądaliśmy z upragnieniem przepływającego okrętu, bo chociaż dzicy byli dla nas uprzedzająco grzeczni, zawsze myśl komendanta rwała się do swoich, do żony, dziecka i ojczyzny ukochanej. Podczas tych wycieczek nad morze mój przybrany ojciec nauczył mnie czytać i pisać, kreśląc litery na piasku. Wykładał mi z pamięci gramatykę, historję i religję. Rozmawialiśmy całemi godzinami i nigdy nie czułem się znużony. W ten sposób minęło pięć lat wśród czerwonoskórych. Oczekiwaliśmy napróżno statku i nie mieliśmy wcale wiadomości o biednym Normandczyku. Wódz, który go porwał przemocą, opowiadał, przypłynąwszy po raz drugi do króla w odwiedziny, że nasz przyjaciel był wciąż smutny, nie chciał zbudować tak pięknej chatki, jaką komendant zrobił dla króla, wreszcie pewnego dnia zniknął bez śladu. Zapewne odpłynął cichaczem i zmarło mu się gdzieś na morzu z głodu i pragnienia. To były jedyne relacje, jakie mieliśmy o zaginionym.

Wódz zapragnął koniecznie zabrać z sobą komendanta. Król sprzeciwił się temu. Wynikła gwałtowna sprzeczka pomiędzy dzikiemi, której omal nie padł ofiarą, gdyż wódz zamierzył się na niego maczugą, wołając do króla: „Nie chcesz mi pożyczyć swego przyjaciela, więc i ty go mieć nie będziesz!“ W tej chwili przyskoczyłem do wodza i

ukąsiłem go w ramię. Porwał mnie i cisnął o ziemię z taką siłą, że straciłem przytomność.

Komendant opowiadał mi potem, że wynikła zacięta walka pomiędzy dzikimi, w której twój tatuś, Stokrotko, dokazywał cudów waleczności. Wódz ze swoim oddziałem został doszczętnie pokonany.

Na wybrzeżu wyspy urządził komendant rodzaj masztu z wywieszoną na nim flagą, mającą wskazywać żeglarzom, że rozbitki oczekują ich pomocy.

I oto dnia pewnego usłyszeliśmy zdaleka armatnie strzały. Radość nasza opowiedzieć się nie da, gdy o jakie dwieście kroków od brzegu ujrzeliśmy wspaniały okręt francuski „Niezwyciężony“. Dostrzegłszy flagę, natychmiast spuszczono łódź i pośpieszono ku nam. Żeglarze uprowidowali się tu w ryby i owoce, a gdy kapitan dowiedział się, że to komendant „Sybilli“ jako rozbitek na wyspie przebywa, wnet pośpieszył na powitanie. Następnie zapoznał się z królem i musiał też pocierać ucho o królewskie ucho, jako oznaka życzliwości. W ogólności to plemię czerwonoskórych miało wielką cześć dla białych.

Król zawiadomiony o postanowieniu komendanta opuszczenia wyspy, począł szlochać i błagał o pozostanie. Dopiero ofiarowana mu na pamiątkę siekiera i nożyk i obietnica dostarczenia jeszcze niektórych pożytecznych narzędzi z odpływającego okrętu, uspokoiły nieco jego boleść.

Oto już i wszystko mniej więcej co się działo przez te pięć lat nieobecności zacnego naszego komendanta, który stał mi się bliższym od rodzonego ojca, bo otaczał mię

wciąż najtkliwszą opieką.

Pan Rosburg uścisnął Pawełka i rzekł wzruszony:

— Pominąłeś w twoim opowiadaniu dwa fakta świadczące o twojem dla mnie poświęceniu. Musisz więc dopełnić jeszcze te luki, gdyż, wychwalając mnie po nad moje zasługi, o swoich zamilczałeś.

— A co to było? Co to było? Opowiadaj Pawełku — domagała się natarczywie Stokrotka.

— Otóż pewnego dnia tatusia twego ukąsił wąż. Dzicy wyleczyli go z tego niebezpiecznego ukąszenia. Następnie zachorował ciężko i tak samo dzicy go wyleczyli.

— O, mój chłopcze, żartujesz sobie z nas tak przedstawiając sprawę — rzekł pan Rosburg kręcąc głową. Wobec tego zabieram głos:

Pewnego dnia byliśmy w lesie, upał był straszny. Dla zaoszczędzenia obuwia szedłem boso. Nadeptałem węża, który mię ukąsił. Chciałem zanurzyć nogę w morskiej wodzie, ale zanim dobiegłem do brzegu, w głowie mi się zakręciło, upadłem na ziemię. Spostrzegłem, że noga moja jest czarna i opuchnięta, zdawało mi się, że umieram.

Pawełek słyszał od dzikich, że najlepszym środkiem na ukąszenie jadowitego węża jest wyssanie rany, lecz może to grozić śmiercią ratującemu. Mój dzielny Pawełek rzucił się coprędzej na ziemię i przyłożył usta do rany. Polepszyło mi się odrazu, gdy jad został wyssany. Chciałem przywołać chłopca, którego nie widziałem przy sobie, wreszcie, chcąc się zerwać, zrozumiałem, że to on jest moim zbawcą. Wyrwałem mu się, ale nie dał za wygranę i gdy drugi raz omdlałem dokończył swego dobroczynnego dzieła.

Mogłem teraz dojść do morza, wsparty na jego ramieniu, a gdy opłukiwałem nogę, z której puchlina zeszła prawie zupełnie, poczciwy Pawełek pobiegł do osady dzikich i zawiadomił co się stało. Przynieśli mi zaraz różne zioła, obłożyli niemi stopę.

W trzy dni byłem już zdrów zupełnie, ale za to usta i język Pawełka spuchły mocno. Dawano mu do żucia różne zioła i pomogło mu to odrazu. Podziwiano ogólnie przytomność umysłu dziesięcioletniego malca.

Oto jest jeden fakt, pominięty przez opowiadającego nasze przygody. A teraz drugi:

Raz wieczorem źle się czułem. Gnębiła mię tęsknota za krajem i za wami, niepokoił los Pawełka, którego byłem jedynem opiekunem. „Jeżeli umrę, co się z wami stanie?“ Trawiła mię gorączka. Tyfus rozwinął w całej pełni. Dziecko czuwało nademną nieustannie dniem i nocą. Dzicy znają roślinę działającą jak wizykatorja. Pawełek przykładał mi ją do nóg z pieczołowitością niezrównaną. Zmieniał wciąż posłanie z liści, dawał mi kokosowe mleko do picia lub też wodę z sokiem cytrynowym.

Dwa miesiące prawie byłem między życiem i śmiercią i dzięki temu oto przybranemu synowi, którego kocham jak własne dziecko — zawdzięczam moje ocalenie.

To rzekłszy, ucałował gorąco Pawełka i Stokrotkę. Wszyscy mieli łzy w oczach, a pani Rosburgowa, przytuliwszy do siebie Pawełka, mówiła wzruszona:

— I ja ciebie kocham jak syna, wiedz o tem, że masz odtąd we mnie matkę całem sercem ci oddaną i wdzięczną za to, coś dla męża mego uczynił.

Gawęda przeciągnęła się tak długo, że godzina rozejścia się na spoczynek dawno minęła. Pożegnano się serdecznie, odkładając resztę do jutra.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: Sophie de Ségur i tłumacza: Natalia Dzierżkówna.*

Koniec opowiadania Pawełka.

Nazajutrz dzieci otoczyły Pawełka życzliwością połączoną ze czcią. Stokrotka czuła się szczęśliwą, mając takiego braciszka; Zosia szczyciła się tem, że Pawełek jest jej bliskim krewnym i towarzyszem lat dziecinnych.

— Nie zapomnij, żeś mi przyrzekł być moim przyjacielem na zawsze — mówił do Pawełka Jakóbek. Tak samo, jak Stokrotka jest teraz twoją siostrzyczką, tak ja jestem twoim bratem. I to dziwne, kocham cię już więcej, niż moich ciotecznych braci! Janek jest dobry, ale Leosia wprost nie cierpię!

— Za cóż to? Czy mogę wiedzieć?

— Bo jest samolubem i tchórzem! Pan komendant odrazu poznał się na nim. Stokrotka też go nie lubi, a ja cieszę się z tego i dokuczam mu jak tylko mogę.

— Jakóbku! Zastanów się! Czy to dobre jest co ty mówisz?

— Nie zupełnie — przyznał Jakóbek, ale trudno. On jest taki dokuczliwy! Sam się przekonasz.

— Trzeba starać się go poprawić.

Wszystkie dzieci nadbiegły, gdyż wybierano się do białego domku. Komendant poszedł bezemnie — rzekł Pawełek ze smutkiem. Nigdy nie rozstawaliśmy się, będąc wśród dzikich...

— Nie jesteśmy tu w krainie czerwonoskórych — zawołał Janek wesoło. Wypadnie nieraz komendantowi rozstać się z tobą!

— Zresztą wśród dzikich nie miał nikogo więcej prócz ciebie, tu ma żonę i córkę, a kocha się zawsze więcej dzieci rodzone, niż przybrane — odezwał się Leoś mentorskim tonem.

— To prawda — szepnął Pawełek zmartwiony.

— Nie to nieprawda — krzyknął Jakóbek z irytacją. Wszak komendant powiedział wczoraj, że kocha ciebie na równi ze Stokrotką i że zawsze kochać cię będzie tak samo. To, co mówi Leoś, jest złośliwością i kłamstwem!

— Sam jesteś kłamcą — krzyknął Leoś gniewnie. Przeproś mnie natychmiast za swe zuchwalstwo.

— Nie, nie przeproszę, choćbym miał trupem paść!.. wolał Jakóbek zaperzony.

Leoś rzucił się z pięściami na ciotecznego brata i przewrócił go na ziemię. Pawełek schwycił Leosia za ramię i rzekł rozkazującym tonem:

— Proś go na kolanach o przebaczenie!

Leoś starał się wywinąć i uwolnić z żelaznego uścisku, ale mu się to nie udało.

Wolną ręką wymierzył tylko parę kuksańców, wobec czego Pawełek schwycił go za obydwa ramiona i przemocą postawił przed Jakóbkiem na kolana.

— Przeproś zaraz — wołał grzmiącym głosem Pawełek.

Leoś opierał się długo, wreszcie wyjąkał:

— Przepraszam!..

Pawełek wypuścił go z rąk, orzucił pogardliwem

spojrzeniem i rzekł:

— Wstań teraz i zapamiętaj sobie, że jeśli kiedykolwiek zadraśniesz Jakóbka, Stokrotkę, lub Zosieńkę będziesz miał zemną do czynienia!

Następnie, zwróciwszy się do pozostałych, zapytał:?

— Czy źle postąpiłem?

— Nie — odpowiedziano chórem.

— Czy za ostro go potraktowałem?

— Nie — brzmiała odpowiedź.

— Dziękuję wam, moi drodzy; teraz chodźmy do komendanta, opowiem mu całe zajście. Podaj mi rękę, Jakóbku, mój kochany i śmiały obrońco!

Po wyjściu dzieci, Leoś pozostał sam, z włosami w nieładzie, zawstydzony, ale nie skruszony wcale.

— Ten Pawełek jest znacznie silniejszy odemnie — rozumował — nie mogę prowadzić z nim otwartej walki, mogę tylko zemścić się, mówiąc mu przy każdej sposobności nieprzyjemne rzeczy. Gdyby nie ten nicpoń, Jakóbek, udałoby mi się go upokorzyć. Nie znoszę takich chłopców jak Pawełek którym się zdaje, że są najpiękniejsi, najsilniejsi i najlepsi. Moje kuzynki są nim zachwycone, co do mnie nie widzę nic osobliwego w tych jego wielkich, czarnych oczach, nosie prostym, jak u rzymskiego cezara, ustach uśmiechających się, aby pokazać białe zęby! Włosy ma ani ciemne ani jasne, kręcące się, jak u dziewczynki, jest szeroki w ramionach, jak jakiś handlarz bydła! Prawdę powiedziawszy uważam go za brzydala! — Mam nadzieję, że nie popełni takiego głupstwa, by opowiadać o naszym zatargu komendantowi! Chciał mię tylko przestraszyć.

Pocieszywszy się w ten sposób, poszedł do pokoju wyczyścić ubranie i przeczesać włosy.

Dzieci tymczasem dobiegły już do mieszkania Lecomte'ów, których zastały uradowanych niezmiernie obietnicą państwa Rosburgów przyjęcia ich do służby. „Normandczyk" miał być znowu pomocą ukochanego komendanta, Franciszka zarządzającą domem, a Lucynka doglądałaby Stokrotki.

Lecomte opowiadał teraz z ożywieniem, jak udało mu się zmylić czujność dzikich i uciec na łodzi, jak trzy dni i noce błąkał się na morzu, a gdy burza rozbiła łódkę dopłynął szczęśliwie do bezludnej wysepki i tam przebył samotnie prawie całych lat pięć, oczekując zmiłowania.

Nareszcie ukazał się na horyzoncie okręt tak gorąco oczekiwany. Strzęp koszuli, na tyczce umocowany, oznajmił przybyszom, że jakiś rozbitek potrzebuje pomocy. Byli to Anglicy z którymi trudno mu się było dogadać, koniec końców zebrali go z sobą i kilka miesięcy posługiwali się nim na okręcie, zanim wylądowawszy w Hewrze, dostał się do Francji.

Pożegnawszy żeglarza i jego rodzinę, całe towarzystwo wracało do domu. Pawełek znalazł chwilę, aby opowiedzieć komendantowi co zaszło pomiędzy nim i Leosiem i bardzo był uszczęśliwiony, że opiekun nie potępił jego występku, zrobił mu tylko życzliwą wymówkę za to, iż mógł choćby przez chwilę podejrzewać przybranego ojca o obojętność dla siebie.

Wieczorem Zosia przypomniała Pawełkowi że miał jeszcze opowiedzieć szczegóły powrotu do kraju.

— Niewiele już, co prawda, mam do opowiedzenia — odrzekł zagadnięty — ale mogę zaraz dokończyć, jeśli jesteście ciekawi.

Otóż czułem się szczęśliwy znalazłszy się na francuskim okręcie. Rozpoznałem dużo rzeczy podobnych do tych, które widziałem na „Sybilli“. Podczas pobytu na wyspie zupełnie zapomniałem jak smakuje mięso i różne nasze potrawy. Wydawało mi się dziwne śniadanie do stołu, posługiwanie się łyżkami i widelcami, picie ze szklanek. Dano mi łyk jakiegoś gorzkiego, pieniącego się napoju, który mi się niepodobał, natomiast wino bardzo mi smakowało, ale komendant powiedział, że mogę się upić, gdybym go wypił zadużo. Przedewszystkiem sprawiał mi największą przyjemność wyraz radości, malujący się na twarzy mego drugiego ojczulka, jego błyszczące oczy; jestem pewien, że owej chwili chciałby wszystkich obecnych przycisnąć do serca!

Pan Rosburg uśmiechnął się na to wspomnienie i rzekł wesoło:

— Jesteś więc jasnowidzem, mój Pawełku? Istotnie byłem w takiem właśnie błogiem usposobieniu.

— Nie jestem jasnowidzem, ale wyczuwam wszystkie twe myśli, ojczulku, ponieważ kocham cię całem sercem — odrzekł Pawełek ze szczerem uczuciem.

— Wobec tego winieneś widzieć, jak tobie jestem niezmiernie oddany i nie wyobrażać sobie, że mogłem zobojętnieć dla ciebie, ty utrapieńcze!.. zawołał komendant serdecznym i pogodnym tonem.

Pawełek poczerwieniał z radości i na chwilę stracił

wątek opowiadania.

— Na czem zatrzymałem się? powiedział, chcąc zebrać myśli rozproszone.

— Na pierwszym obiedzie na „Niezwyciężonym“ — powiedział pośpiesznie Jakóbek.

— A, tak właśnie. Doskonale zapamiętałeś nazwę okrętu. Gdybyś wiedział, jak cała załoga była dobrą dla nas! Gorąco dziękowaliśmy Bogu, iż nam pozwolił znaleźć się wśród tak zacnych ludzi! Wyspawszy się wybornie i spożywszy śniadanie, obdarzeni nowemi ubraniami powróciliśmy jeszcze na wyspę. Towarzyszyła nam liczna straż, gdyż kapitan obawiał się, by nas nie zatrzymali dzicy przemocą. Przywieźliśmy na szalupie sto pięćdziesiąt toporów i dwieście noży dla rozdania naszym przyjaciołom, którzy nas rzewnie opłakiwali.

Kapitan „Niezwyciężonego“ przeznaczył jeszcze sporą ilość gwoździ a także piły; nożyczki, igły i szpilki dla kobiet. Te podarki sprawiły tyle zachwytu, że odjazd nasz nie był już dla nich zbyt boleśny. Powróciliśmy na okręt późno wieczór. W parę godzin potem podjęto kotwicę i wyruszyliśmy w podróż. Nazajutrz ziemia znikła nam z oczu, wpłynęliśmy na pełne morze. We trzy miesiące zawinęliśmy do Hawru, stamtąd przybyliśmy do Paryża. W ministerstwie marynarki ojczulek spotkał się z panem Fraypi, który właśnie o niego zapytywał i przywiózł nas tutaj.

Reszta państwu wiadoma.

Gdy Pawełek skończył, wszyscy dziękowali mu i jeszcze znalazło się dużo pytań, dotyczących pobytu wśród dzikich.

Zwłaszcza Jakóbek i Stokrotka byli pod tym względem nienasyceni.

Leoś nie mieszał się wcale do rozmowy. Siedział milczący i nachmurzony, mierząc Pawełka zawistnem okiem, Stokrotkę i Jakóbka pogardliwie. Jeśli Janek lub Zosia zwracali się do niego, odtrącał ich z niechęcią. Tylko Kamilkę i Madzię traktował życzliwie i ucałował je nawet na dobranoc.

Stosunek Leosie do Pawełka był wciąż nieprzyjazny, starał się go o ile możności unikać, nie było to jednak rzeczą łatwą, ponieważ wszystkie dzieci przepadały za Pawełkiem i ciągle chciałyby go mieć przy sobie. Pobyt chłopca wśród dzikich uczynił go zręcznym i przedsiębiorczym. Obmyślał co chwila jakieś nowe ozdoby do chatek i zaproponował zbudowanie nowej na wzór tej, jaką komendant z Lecomte'em sklecili dla króla. Dzieci były uszczęśliwione z tego pomysłu, i zabrały się natychmiast do roboty pod przewodnictwem Pawełka. Pan Rosburg przychodził pomagać i dni, w których przebywał z niemi, stanowiły prawdziwe święto wśród młodocianej gromadki.

Leoś boczył się z początku ale i jego porwała werwa, wesołość i uprzejmość komendanta. Pawełek też zjednywał go coraz bardziej swoją dobrocią, starał się szukać sposobności okazania mu usługi, przedstawienia w najlepszem świetle. Pewnego wieczora chwalił niezmiernie jakiś mebelek przez Leosia zmajstrowany. Wzruszony tem Leoś podszedł do Pawełka i uścisnął go za rękę w milczeniu.

— Dziękuję ci Leosiu — dziękuję — rzekł Pawełek, z właściwym sobie uprze]mym uśmiechem, jednającym mu ludzką życzliwość.

Leosia serce zmiękło naraz, rzucił się w objęcia Pawełka, mówiąc:

— Bądź też moim przyjacielem, jak nim jesteś dla moich krewnych i braci. Wstydzę się mego postępowania z Jakóbkiem i z tobą. Byłem zazdrosny o ciebie, nienawidziłem zacnego komendanta i w tobie chciałem dopatrywać się złych stron tylko... Powiedz swemu przybranemu ojcu, ponieważ nic przed nim nie ukrywasz, że niezmiernie żałuję tego, co uczyniłem dotąd, że przyrzekłem sobie poprawę i pragnę naśladować cię pod każdym względem, a pana Rosburga kochać i poważać będę i mam nadzieję że zdołam wreszcie pozyskać jego życzliwość. Czy mi wybaczasz i będziesz kochał choć odrobinę?..

— Nie odrobinę, ale nawet bardzo — odrzekł Pawełek gorąco. Wnikam w twoje położenie i rozumiem doskonale, jak niemiłem ci było, że obcy jakiś przybysz zabiera serca twych przyjaciół i rodziny, że okazują mu szczególne względy, ponieważ jestem krewnym Zosi i przebywałem wśród czerwonoskórych, jednym słowem obudziłem pewne zaciekawienie pojawieniem się wśród twojej rodziny.

— Umiesz tak świetnie wytłómaczyć to, co mię gnębiło najwięcej! zawołał Leoś.

— Dlaczego myśmy nie mieli takich myśli? Dlaczego tylko Leoś?.. pytał Jakóbek.

— Bo, bo... wszyscy nie są jednacy, mój Jakóbku. —

odrzekł Pawełek, nieco tym pytaniem stropiony — a zresztą jesteście wszyscy młodsi od Leosia, a więc...

— A więc co? dopytywał Jakóbek natarczywie.

— Więc... więc jesteście zbyt dobrzy dla mnie — odparł Pawełek — nie wiedząc już jak wybrnąć z sytuacji.

— Ha! ha! ha! To mi się podoba! — zawołała śmiejąc się Zosia. Oto odpowiedź, która nic a nic nie wyjaśnia! Dzicy nie nauczyli ciebie dobrze rozumować!

— Ale za to serce nauczyło go dobrem za złe odpłacać i doskonale w jego odpowiedzi wyczuwam wielką względem mnie delikatność — odpowiedział Leoś, przejęty wdzięcznością dla Pawełka.

— Pora iść spać moje dzieci, rzekła pani Marja wchodząc — nigdy dość się nie możecie nagadać.

— Ale tatuś mnie zaniesie na górę? szczebiotała Stokrotka. Tak mi jest dobrze, kiedy tatuś siedzi przy mnie, nim zasnę!

Komendant czuł się zawsze wzruszony objawami szczerego przywiązania żony i córeczki, Pawełka też pokochał serdecznie, więc nie mógł już myśleć o rozstaniu z nimi, zamyślał o porzuceniu marynarki i oddaniu się życiu domowemu. Podawszy się do dymisji, miał zamiar nabyć majątek i gospodarować na wsi. Upatrzył już nawet ładną posiadłość w tych stronach. Projekt ten wszystkim starszym przypadł do gustu, dzieci tylko nic jeszcze o tem nie wiedziały.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autora: [Sophie de Ségur](#) i tłumacza: [Natalia Dzierżkówna](#).*

Sąsiedzka wizyta. — Obrona Maćka idjoty.

Już od miesiąca bawili goście pani Marji; dzieci cieszyły się, że parę tygodni mogą jeszcze używać swobody. Chatki były wciąż ulubionem miejscem pobytu całej gromadki. Leoś z dniem każdym stawał się lepszym. Nie tylko zwalczał w sobie zawiść, ale starał się pokonać wrodzone tchórzostwo. Pawełek tak dalece potrafił pozyskać jego zaufanie, że pewnego dnia Leoś wyznał mu jak dalece przykrem jest, iż dotąd tej wady wykorzenić nie może.

— Mój drogi Leosiu — odrzekł Pawełek — zbyt srogo siebie sądzisz, bo przedewszystkiem trzeba mieć dużo odwagi, aby wyznać choćby najlepszemu przyjacielowi to, co mi powiedziałeś przed chwilą. W gruncie rzeczy jesteś tak samo odważny, jak ja, ale nie miałeś sposobności do zastosowania tej odwagi w praktyce.

— Ty jednak nie czekasz sposobności, ale sam je szukasz — zauważył pokornie Leoś.

— To rzecz inna. Przebywałem trzy lata wśród niebezpieczeństw, u boku człowieka niezłomnego męstwa. Przywykłem niejako do stawienia czoła wszelkim przeciwnościom i wychodzenia z nich obronną ręką. Jeżeli się okazja trafi, zobaczysz, że tak samo potrafisz sobie dać

radę i nie zaznasz strachu.

— Wątpię w to, ale wdzięczny ci jestem, iż mnie podniosłeś w mojem własnem przekonaniu, wstyd mi było bowiem za samego siebie.

— W przyszłości będziesz z siebie zadowolony, ręczę ci za to — odparł Pawełek, ściskając przyjaźnie dłoń Leosia.

Rozstali się w najlepszej zgodzie. Pawełek pobiegł do komendanta, który, ujrzawszy go, rzekł na wstępie:

— Wyglądasz mi tak jak gdybyś dobrą nowinę przynosił.

— Jest to właściwie dobry uczynek, o którym chciałem ci ojczulku opowiedzieć.

Pawełek powtórzył rozmowę swą z Leosiem, na co pan Rosburg odpowiedział:

— Jesteś pomysłowy, mój drogi! Nie wiem, czy Leosia przekonałeś o drzemiącej w nim odwadze i o tem, że przebudzenie się lwa jest bliskie, ale w każdym razie dobrze zrobiłeś przyrzekając, że zasłuży sobie na twój i mój szacunek, (bo zdaje mi się że i o mnie bardzo mu chodzi). Ale co uczynić zamierzasz, aby wygnać zeń to nieszczęsne tchórzostwo? Bo mówiąc między nami jest on tchórzem co się zowie.

— Zapewne. Jest nim niewątpliwie, ale nim nie będzie. Jego miłość własna gra tu rolę, a ja postaram się Leosia przekonać, że pewniejszą jest rzeczą iść przeciw niebezpieczeństwu, niż go unikać.

— Opowiesz mi potem, jak ci się to przekonywanie powiedzie, a tymczasem — dodał komendant — chciałbym, korzystając, że jesteśmy sami, pomówić o twej przyszłości. Czy myślałeś kiedy o tem?

— Nie ojczulku, zupełnie zdałem się na ciebie. Wiem, że co obmyślisz, będzie dla mnie najlepsze.

— O też obmyśliłem w ten sposób, iż nie rozstaniemy się już nigdy z sobą.

Pawełek aż podskoczył z radości, słysząc te słowa.

— O dzięki, dzięki Bogu! zawołał uszczęśliwiony. Pójdę zaraz oznajmić o tem Stokrotce.

— Poczekaj, chłopcze; cóż jej powiesz, kiedy sam jeszcze nic nie wiesz — odrzekł pan Rosburg ze śmiechem. Otóż wyjaśnię ci to w krótkich słowach. Podaję się do dymisji i będę gospodarował na wsi. Nauczysz się pracować przy roli, hodować konie, wprowadzimy różne ulepszenia, postaramy się wszystkim robić dobrze...

— Ależ to bajeczne! Bajeczne! wołał Pawełek. Czy pani komendantowa już wie o tem?

— Naturalnie, dzielę się z nią najprzód każdą myślą, ułożyliśmy już sobie cały projekt. Tobie pozostawiam przyjemność zawiadomienia Stokrotki. Możesz zaraz ją wyszukać.

Pawełek pomknął lotem strzały do ogrodu. Zastał w chatce Zosię, Jakóbka i Stokrotkę, czytających coś razem.

— Czy wiesz, Stokrotko że zostanę z wami? Będziemy zawsze razem! Tatuś twój już nigdy na morze nie powróci. Gospodarować będzie u siebie na wsi.

— I Zosię zabierzemy, nieprawdaż? mówiła Stokrotka, która zauważyła smutek na twarzy przyjaciółki.

— To niemożliwe — odrzekła Zosia — tu jestem jak w rodzinie, powierzono mię opiece pani Marji, aż do czasu..

Głos jej załamał się na wspomnienie powrotu macochy.

Stokrotka ucałowała ją serdecznie i pobiegła do rodziców, żeby dowiedzieć się od nich jak się to wszystko ułoży. Ucieszyła ją niezmiernie wiadomość, że ojciec kupił majątek o kilometr od wioski pani Marji oddalony i że po wakacjach przeniosą się do własnej siedziby. Na zimę będą wyjeżdżali do własnego domu w Paryżu.

Zaturkotało coś na dziedzińcu. Dzieci zobaczyły przez okno powóz zatrzymujący się przed gankiem. Wysiadł naprzód pan niemłody, a po nim pani ubrana według najświeższej mody, wreszcie wyskoczyła dwunastoletnia dziewczynka wystrojona po balowemu, zupełnie niestosownie na czas letni.

— A cóż to za dziwne jakieś figury? zawołał Pawełek ze śmiechem.

— To muszą być ci sąsiedzi z majątku nabytego przez państwa Rosburgów, odpowiedziała Madzia.

— Zapewne powitalna, a zarazem pożegnalna wizyta — rzekł Janek. Trzeba nam się pokazać, będziemy robili tłum! We cztery pary weszli, składając przed gośćmi głębokie ukłony. Mała Jolanta zdawała się tem zachowaniem zachwycona.

— Bardzo mi przyjemnie poznać państwa przed opuszczeniem tych stron — rozpoczęła z dziećmi rozmowę. Mam nadzieję że zechcą państwo odwiedzić nas w Paryżu. Ojciec mój posiada tam jeden z najpiękniejszych pałaców. Poproszę mamy aby przysłała zaproszenie na wieczorki i bale, jakie będą odbywać się u nas.

Zwracając się do Kamilki i Madzi dodała:

— Mówiono mi, że kazały panie wybudować śliczne

dworeczki w ogrodzie, czy mogłabym je zobaczyć?

— Skromne chatki, któreśmy własnemi rękami zbudowały przy pomocy naszych miłych gości, objaśniły dziewczynki. Owszem, proszę z nami. To mówiąc otworzyły drzwi do ogrodu.

— Pawełek zrobił ładny szałas na wzór dzikich siedzib — wtrąciła Stokrotka.

Jolanta zmierzyła ją pogardliwem spojrzeniem.

— Kto jest ta mała? zapytała wyniośle.

Pawełek poczerwieniał z oburzenia.

— Ta mała — powtórzył z naciskiem — jest to panna Małgorzata de Rosburg, moja siostra i przyjaciółka.

— A cóż to są Rosburgowie? pytała dalej „nowobogacka“ również jak poprzednio wyniosłym tonem.

— Pan Rosburg jest dzielnym kapitanem okrętu, ma już wyrobioną sławę świetnego marynarza, mówić o nim należy z wysokim poważaniem, inaczej ze mną będzie się miało do czynienia — odciął szybko Pawełek.

— Nie zapomnij Pawełku, że ta panienka jest gościem tutaj — szepnął komendant, zbliżywszy się do młodego grona.

— Ależ ona przybiera tony dzielnej księżniczki — odrzekł Pawełek, wzruszając ramionami.

Szedł za dziewczątkami zdaleka i nie odzywał się już do Jolanty, która wyprawiała niesłychane minoderje, dopytywała czy ścieżki w ogrodzie są wygodne, gdyż obawia się popsuć swe wytworne pantofelki.

— Mam z pięćdziesiąt par pantofelków w domu — dodała, w obawie, aby nie myślano, że mówi to przez

oszczędność — ale nie znoszę stąpania po nierównym terenie.

— Niech pani będzie spokojną — odezwała się Madzia — wszystkie aleje są piaskiem wysypane.

Pomimo, że ogród był bardzo dobrze utrzymany i nie dawał żadnych powodów do obaw, Jolanta wydawała od czasu do czasu okrzyk przerażenia nadeptawszy na kamyk lub ujrzawszy żabę zdaleka. Widząc jednak, że te jej okrzyki nie robią na nikim wrażenia, zaprzestała udawać i jakoś pomyślnie doszła do ogródka dziewczynek.

Na widok chatek zrobiła lekceważący grymas.

— Ach, więc to są owe dworki wychwalane! szepnęła przez zęby. I chciało się też wam zabrać do takiej brudnej roboty! Mój ojciec ma stałych robotników, którzy wykonywują każdą rzecz obstalowaną.

— Myśmy pracowały nad tem same i dlatego właśnie są nam miłe te nasze chateczki — odrzekła Madzia.

— A czy można wejść do środka? pytała Jolanta.

— Ależ naturalnie. Oto jest moja, a tamta Madzi i Leosia — objaśniała Kamilka.

— Ta trzecia należy do Zosi i Janka, a czwarta do Pawełka, Jakóbka i Stokrotki dodała Madzia.

— Cóż to za okrucieństwo! O Boże! to mają być meble? Jabym to wszystko wrzuciła w ogień! zżymała się Jolanta.

— A tamtą chatkę zrobił Pawełek, który pięć lat przebył wśród dzikich — rzekła Stokrotka z dumą.

— O! Widać to po nim!

To rzekłszy, Jolanta skrzywiła usta pogardliwie. Potem zaczęła opowiadać Kamilce i Madzi, o bogactwach

rodziców, o ich zbytkownem życiu i swoich strojach. Powróciła z dziewczątkami do salonu, gdzie właśnie ojciec jej zawierał drugą umowę z panem Rosburgiem. Sprzedawał swój wspaniały dom w Paryżu z całem umeblowaniem. Chodziło mu bardzo o gotówkę, a nabywca miał jej sporo i płacił od ręki. W godzinę potem pan Rosburg kupił jeszcze na imię Pawła d'Aubert, którego był prawnym opiekunem, lasy przylegające do nabytego przez siebie majątku.

— Jakto ojcze? Sprzedałeś, ziemię, lasy i pałac nasz, gdzież teraz mieszkać będziemy? — zapytała Jolanta z przerażeniem.

— Spędzimy zimę we Włoszech — odpowiedział ojciec.

Widocznie pomimo wielkiej ambicji i fumów ojca, matki i córki wielki był brak pieniędzy na opłacenie pilnych długów, to też gdy zajechał powóz przed ganek i pan Rosburg pochwalił ładną czwórkę siwoszów właściciel ich rzekł pośpiesznie:

— Sprzedam je panu za trzecią część tego, co za nie zapłaciłem, byle zaraz.

— Zrobione — odparł pan Rosburg. A więc do jutra.

Gdy goście odjechali, pan Rosburg zawołał, wzruszając ramionami:

— To istny warjat, żeby tak wszystko marnować bez pamięci! Nabyłem majątek, lasy, dom w Paryżu za bezcen. Mam nadzieję, pani Marjo, że spędzi pani z nami zimę w tej nowej naszej paryskiej siedzibie? Mówiła mi żona, iż wymogła już na pani słowo. Nieprawdaż?

— Przyrzekłam i nie cofam obietnicy. Tak zżyłyśmy się

z nieocenioną żoną pańską, że z prawdziwą przyjemnością myślę o nie przerywaniu rozstaniem węzła zawartej przyjaźni — odrzekła pani Marja ze szczerem uczuciem.

Nadbiegły dzieci. Pan Rosburg oznajmił Pawełkowi o kupnie lasów na jego imię.

— Czy życzysz sobie, abym w dalszym ciągu, lokował twoje kapitały? zapytał przybranego syna.

— Jakie kapitały? odrzekł Pawełek zdumiony.

— Masz oprócz majątku po rodzicach dwa miljony, które pan Fischini zapisał w testamencie twemu ojcu, przyjacielowi swemu z lat dziecinnych.

— Jakiż ten pan Fischini był bogaty! chwalił się Pawełek.

— Ja myślę! Pozostawił jeszcze cztery miljony franków swemu dawnemu i ukochanemu przyjacielowi panu de Rèan, ojcu Zosi.

— O Boże! wykrzyknął Leoś. Jakże Zosia jest szczęśliwa! Chciałbym ogromnie być bogatym!

— Czyż nie mamy wszystkiego podostatkiem? zapytał Janek.

— Zawsze to wielka przyjemność mieć dużo pieniędzy! Wszyscy kłaniają się, poważają, cenią...

— O, na to nigdy się nie zgodzę — wtrącił Pawełek. Czy poważasz i cenisz tych nowobogackich, którzy tu byli przed chwilą? Czy sądzisz, że są od nas szczęśliwsi? Jeżeli ma się co jeść, w co się ubrać, a przytem jeszcze można innych wspomagać, czegoż więcej potrzeba?

— Masz słuszność, mój chłopcze — rzekł pan Rosburg. Zobaczysz ilu ludzi uratujemy z biedy. Będziemy uczyć

przykładem, jak żyć należy. Ale, ale, cóż to za hałasy? Słychać jęki i śmiechy. Co to może być takiego?

Pawełek nasłuchiwał chwilę, potem pociągnął za sobą Leosia, który miał minę wylęknioną.

— Chodźże Leosiu — szepnął mu na ucho, ze mną niema obawy. Okaż, że nie jesteś tchórzem.

Wziąwszy się za ręce pobiegli na drogę, skąd gwar dochodził. Obaj szwagrowie pani Marji z panem Rosburgiem szli w tęże stronę, obserwując chłopców zdaleka. Okazało się że gromada wiejskich urwisów napadła na biednego idjotę i poturbowała go mocno. Pawełek rzucił się na ratunek, okładał pięściami zuchwałych, którzy nie dawali za wygranę. Leoś odpędził też napastników, wreszcie chwycił energicznie dwóch za czuby i uderzał głowami jedną o drugą. Na ten zgiełk niesłychany nadeszli trzej panowie, a na ich widok napastnicy pouciekali co prędzej przez płoty.

Podniesiono nieszczęśliwego idjotę, który klęcząc płakał i drżał cały. Był zbity i posiniaczony, ubranie na nim wisiało, porwane w strzępy.

Pan Fraypi wypytywał go, czy zna nazwiska tych nicponiów, którzy zabawiali się dręczeniem go przed chwilą. Idjota wymienił kilka nazwisk, które pan Fraypi zanotował, aby rodzicom chłopców dać porządną nauczkę. Odprowadzano następnie biedaka do rodziny, przy której mieszkał i obdarzono sowicie.

Po powrocie z wyprawy, Leon rzucił się w objęcia Pawełka, wołając:

— Pawełku, najdroższy przyjacielu, uratowałeś mnie!

Nie jestem już tchórzem, czuję w sobie siły i energję do walki. Byłbym ich tam zatłukł na miejscu, gdyby się nie przelękli i nie rozpierzchli na widok nadchodzących. Pan Rosburg uścisnął mi rękę serdecznie. Podobała mu się moja odważna obrona napastowanego.

— Chodźmy do reszty towarzystwa — odrzekł Pawełek — pilno mi jest opowiedzieć o twej waleczności. Nikt ci już tchórzostwem dokuczać nie będzie.

Dzieci wysłuchały z przejęciem historji napaści na biednego idjotę Maćka, którego wszyscy znali z widzenia. Janek ubolewał, że nic nie wiedząc o zajściu, nie pobiegł ratować nieboraka. Pawełek wychwalał odwagę Leosia, przemilczając zupełnie o sobie.

— Dostrzegam w oczach Leosia jakieś błyski, które go czynią podobnym do Pawełka! zauważył Jakóbek.

— Doprawdy, masz Leosiu wyraz skromności i stanowczości zarazem — zawołał Janek. Podobasz mi się teraz.

Dziewczątka wszystkie przyznały to samo. Walka dwu przeciw dwunastu rozhukanych wiejskich chłopaków wydawała się im bohaterskim czynem.

— Biedny Maciek! Dlaczego znęcają się nad nim? Pójdziemy go odwiedzić; Pawełku. Dobrze? mówił Jakóbek z przejęciem.

— I ja pójdę z wami! zawołała Stokrotka.

— Jutro odwiedzimy go, tymczasem pójdziemy do tatusia, moja mała siostrzyczko — rzekł Pawełek.

— To ty natchnąłeś odwagę Leosia? szepnęła Stokrotka, idąc z nim ku domowi.

— Ależ nie, moja droga, nie ma w tem mojej zasługi, on sam zmienił się do niepoznania.

— Ach, Pawełku, im więcej cię poznaję tem bardziej cię kocham! wykrzyknął Jakóbek, który pobiegł z nimi.

— I ja tak samo! Kocham ciebie, jak rodzonego brata — zapewniał gorąco Pawełek.

— Nigdy nie płaczę, ale gdy będę się rozstawał z wami, ze Stokrotką i z tobą Pawełku, to czuję, że nie wytrzymam i będę beczał — mówił Jakóbek ze zwykłą sobie szczerością.

Trójka przyjaciół uścisnęła się nawzajem i przyrzekła być z sobą zawsze w przykładnej zgodzie.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: Sophie de Ségur i tłumacza: Natalia Dzierżkówna.*

Hrabina Teodora.

Kończyły się już wakacje. Dzieci przywiązywały się do siebie coraz bardziej. Leoś zmienił się zupełnie pod dobroczynnym wpływem Pawełka i sióstr ciotecznych. Kilkakrotnie jeszcze zdarzała się sposobność wypróbowania jego odwagi i męstwa; zawsze wychodził z tych prób szczęśliwie.

Biedny Maciek idiota został pomszczony, gdyż rodzice okrutnych chłopaków wymierzyli im dotkliwą karę na podwórku jego mieszkania.

Maciek aż uszy sobie zatykał słysząc krzyki chłopców, ale nauczka rodzicielska nie poszła w las i nigdy już nie zaczepiono więcej nieboraka.

Jakóbek coraz bardziej był strapiony myślą o rozstaniu z przyjaciółmi. Zosia również martwiła się ich odjazdem, szczególniej żal jej było Janka, który okazywał Zosieńce prawdziwie braterską życzliwość.

— Czy już nigdy później nie słyszałaś nic o swej macosze? zapytał ją dnia pewnego.

— Nic nie wiem — odpowiedziała Zosia. Przyznaję się, że nie myślę nigdy o niej; tak była dla mnie niegodziwą, iż staram się wykreślić z pamięci te trzy lata z nią przebyte.

— Ile lat miałaś, gdy cię zostawiła u cioci Maryni?

— Miałam lat siedem, a teraz mam już dziewięć. Dwa lata tu jestem z Kamilką i Madzią, które kocham z całej duszy.

— Zosiu! Zosiu! odezwał się głos Kamilki, idź do mamy. Przyszła jakaś wiadomość od twojej macochy. Podobno przyjechała i bardzo jest cierpiącą.

Zosia krzyknęła przerażona i osunęła się na krzesło, zalana łzami.

Kamilka i Janek pocieszali ją jak mogli, ale Zosia mówiła, szlochając:

— O mój Boże, mój Boże! Będę musiała rozstać się z wami i wrócić znowu do tej złej kobiety! Wolałabym tu umrzeć zaraz, niż z nią przebywać!

— Dlaczego powiedziałaś jej o tem tak nagle, Kamilko? szepnął Janek z wymówką w głosie.

— Mama kazała mi ją uprzedzić. Jestem strapiona również — mówiła Kamilka ze współczuciem — ale wierz mi, Zosienko że mamusia nie dopuści, aby się pani Teodora znęcała znowu nad tobą. Zostaniesz napewno z nami.

— Tak sądzisz? — zapytała Zosia nieco uspokojona i poszła odważnym krokiem z Jankiem i Kamilką do salonu.

Pan Rosburg, widząc ją zapłakaną, podszedł i ucałował serdecznie, pytając, czy to powrót macochy tak zmartwił Zosienkę?

Na te słowa Zosia znowu wybuchnęła płaczem.

— O tak, drogi panie! zawołała łkając, niech pan mię ratuje i nie dopuści żeby mię od pani Marji zabrali!..

— Bądź pewną, dziecko kochane, że zostaniesz tutaj. Pani Marja postanowiła zatrzymać cię u siebie, a ja jako twój opiekun — dodał wesoło pan Rosburg — całując Zosię — rozkazuję ci mieszkać tutaj..

— Twoja macocha, wyszedłszy zamąż powtórnie, niema

już żadnych praw do ciebie. Tylko ja i pan Rosburg, jako twoi opiekunowie, mamy prawo rozporządzać twoim losem.

To powiedzenie pani Marji rozpromieniło twarzyczkę Zosieńki, zapytała już bez trwogi, co pisze macocha?

— List jest napisany przez jej panną służącą, ogromnie nie ortograficznie, ledwie można zrozumieć o co chodzi. Dowiedzieliśmy się ostatecznie że pani Teodora powtórnie owdowiała, że ten drugi mąż ją oszukał, udając jakiegoś polskiego hrabiego, a właściwie był zbiegiem z galer, nazwiskiem Gorubon, który wszystkie pieniądze twojej macochy roztrwonił, następnie zamierzał utopić się, ale, uratowany przez żandarmów został przez nich powrotnie oddany na ciężkie roboty. Pani Teodora zrozpaczona błagała by mogła powrócić do majątku Zosi. Rozchorowawszy się ciężko po przyjeździe i czując się bliską śmierci, prosi, aby Zosia ją odwiedziła, bo ma jej coś ważnego do powiedzenia.

— Więc jak to będzie?.. pytała Zosia niepewnym głosem.

— Ułożyliśmy tak: Pan Rosburg pójdzie do twej macochy, żeby się dowiedzieć, czy istotnie tak źle się czuje? Będziemy wiedzieli także, czego chce od ciebie. Czekaj więc cierpliwie powrotu twego opiekuna i nie obawiaj się niczego.

Pan Rosburg wyruszył natychmiast, a w parę godzin był już z powrotem.

— Nieszczęśliwa kobieta jest istotnie umierająca prawie. Prawdopodobnie więcej niż dwa dni nie pociągnie —

mówił pan Rosburg. Ma roczne dziecko, którego zdrowie jest też w bardzo złym stanie. Ten łotr, udający hrabiego, zupełnie ją zrujnował i pozostawił w nędzy. Pani Teodora życzy sobie zobaczyć się z Zosią i powierzyć jej opiece swoje dziecko, a przy tem chce przeprosić pasierbicę za krzywdy jej czynione.

— Czy uważa pan, że powinnam zawieść do niej, Zosię? pytała pani Marja swego doradzcę.

— Moim zdaniem Zosia powinna pojechać, ale lepiej będzie, gdy ja jej będę towarzyszył — odrzekł pan Rosburg — i wydał zaraz rozporządzenie, żeby zaprzężono inne konie. Sąsiedztwo było tak bliskie, że dojechano przed ganek w niespełna godzinę.

Zosia ze drżeniem wchodziła w progi tego domu, w którym przecierpiała wiele. Pokrzepiła ją obecność zacnego opiekuna, powtarzała sobie, że ten jej krzywdy zrobić nie da. Wszystko tu było, jak przed dwoma laty; meble w salonie stały na swojem miejscu, cały nastrój domu przypominał Zosi żywo niedawną przeszłość.

Kiedy się drzwi pokoju macochy otwarły, Zosia musiała sobie zadać przymus by wejść do wnętrza. Ujrzała przed sobą siedzącą na fotelu postać szczupłą, wynędzniałą bladą, zamiast dawnej potulnej, rumianej, zawsze ożywionej pani Teodory. Chora chciała podnieść się z fotela na widok przybyłych, lecz nie starczyło jej siły i opadła na fotel, ukrywając twarz w dłoniach.

Wielkie łzy spływały przez palce wychudzone niezmiernie.

Wzruszona tym widokiem Zosia, podeszła bliżej i

wziąwszy panią Gorbonową za rękę szepnęła nieśmiało:

— Mamo!. Matko!..

— Twoja matka! O, biedna Zosieńko! odrzekła chora, łkając. Wielki Boże! Od kiedy spadło na mnie to nieszczęście przez ohydne małżeństwo, od kiedy zwłaszcza mam własne dziecko, zrozumiałam dopiero jak niegodziwie postępowałam z tobą!.. Bóg mię ukarał należycie! Czuję się bardzo, bardzo winną! Ale skrucha moja też jest wielka — dodała, płacząc rzewnie i przyciskając Zosię do serca. Zosię, którą tak nienawidziłam, dręczyłam, przebacz mi dziś gdy stoję nad grobem. Powiedz, że mi przebaczasz żebym spokojnie mogła zamknąć oczy!

— Z całego serca... z głębi serca... szeptała Zosia ze łzami. Proszę nie martwić się, nie rozpaczać. Zrobiłaś mi, matko wielką łaskę, oddając pod opiekę pani Marji, która jest dla mnie niezmiernie dobra i za trzecią córkę uważa. Tobie, matko, zawdzięczam mój pobyt w tym zacnym domu..

— O! mnie nic, nie masz do zawdzięczania! Możesz mieć tylko najgorsze o mnie wspomnienie! mówiła macocha, w której słowach brzmiał żal szczery. Wyrzuty sumienia nie dawały jej spokoju ani chwili.

— Pan tak przekonywująco umie mówić o miłosierdziu Bożem, że mi to dodaje odwagi przed zgonem — rzekła chora słabnącym głosem.

Zamknęła oczy i nie mówiła więcej.

Goście usunęli się, pozostawiając pannę służącę przy chorej.

Siadłszy do powozu, pan Rosburg zapytał Zosię:

— Czy przebaczyłaś jej szczerze, moje dziecko?

— O tak — odpowiedziała Zosia wzruszona — z całego serca przebaczyłam. Mam dla niej wielką litość.

— Mam nadzieję że i Bóg jej przebaczy, bo widzę skruchę głęboką tej nieszczęśliwej — rzekł pan Rosburg ze współczuciem.

Wszyscy oczekiwali powrotu Zosi i jej opiekuna, siedząc na ganku. Smutny stan opuszczonej kobiety czynił na zgromadzonych przygnębiające wrażenie. Pan Rosburg pochwalił zachowanie się Zosi lecz ubolewał, że raz jeszcze musi ją narazić na tak bolesny widok.

Nazajutrz pojechali znowu we dwoje, jak za pierwszym razem.

Chora leżała teraz w łóżku i była jeszcze bledszą niż wczoraj.

— Zosiu — wyszeptała, przyciągając pasierbicę do siebie. Posłuchaj. Mam córeczkę... Jestem zupełnie zrujnowaną... Nic jej pozostawić nie mogę... Ty, Zosiu, jesteś bogatą. Zaopiekuj się moją małą. Nie bądź dla niej taką, jaką ja byłam dla ciebie... Przebacz!.. Nic mi nie przyrzekaj... niczego nie wymagam... ale bądź dobrą dla mojej dzieciny. Bądź zdrowa, biedna Zosieńko... O, biedne, biedne dziecko moje!..

— Proszę być spokojną — odpowiedziała Zosia — Będę uważała to maleństwo za moją siostrzyczkę i pokocham z pewnością. Moi zacni opiekunowie nic nie będą mieli przeciw temu.

— O tak, moje dziecko, uczyń, co głos serca dyktuje. Najzupełniej pochwalam twoje postanowienie — rzekł pan

Rosburg wzruszony.

— Dziękuję wam, dziękuję stokrotnie! Teraz umrę spokojnie. Módlcie się za moją grzeszną duszę... Boże, przebacz!

Skurcz śmiertelny stłumił jej mowę. Pan Rosburg chwycił Zosię i wyprowadził z pokoju, a sam powrócił odmówić modlitwy przy konającej.

— A gdzie jest malutka? Chciałabym ją zobaczyć — prosiła Zosia.

Zaprowadzono ją do pokoju, w którym niańka piastowała na ręku dziecinę. Było to chude, wątłe stworzenie. Zosia chciała małą pocałować, lecz ta poczęła krzyczeć i płakać. Na widok pana Rosburga rozkrzyczała się na dobre, trudno ją było uspokoić.

— Chodźmy ztąd — rzekł Rosburg — innym razem może mniej będzie zalękniona.

Polecił pannie służącej i niańce mieć oko na dziecko, dopóki dalszy jego los nie zostanie ustalony.

Po powrocie z tej przykrej niezmiernie wycieczki, Zosia opowiedziała o ostatnich chwilach swej macochy i o jej przedśmiertnej prośbie. Pan Rosburg z panią Marją naradzali się, jak postąpić należy.

— Nie sposób, żeby Zosia uznawała za swoją siostrę córkę galernika i tej kobiety, która ją katowała — mówił pan Rosburg — Najlepiej będzie pozostawić na jakiś czas dziecko pod dozorem panny służącej, do której zmarła miała zaufanie. Wyznaczy się jej pensję odpowiednią, aby z dzieckiem i niańką mieszkały w Zosinym pałacyku. Mogą zająć boczne skrzydło. Jak dziecko podrośnie, zobaczymy

jak je wychować. Mam jednak wrażenie, że żyć nie będzie.

Przeczucia pana Rosburga spełniły się wkrótce. Wątła dziecina zmarła, pomimo starannej lekarskiej opieki i obok matki została pochowana.

Wakacje skończyły się. Nadszedł dzień wyjazdu. Wszystkie dzieci chodziły smutne i rozżalone. Jakóbek i Stokrotka popłakiwali na myśl o rozstaniu. Zosia też płakała, a Janek ocierał oczy ukradkiem, Leoś miał wyraz ponury. Pawełek również, gdyż nie mógł patrzeć obojętnie na szlochania Jakóbka i Stokrotki. Najgorszą była ostatnia chwila, gdy pan Fraypi wyrwał Jakóbka z objęć Pawełka i Stokrotki, wskoczył z nim do powozu i zaciął konie. Stokrotka płakała jeszcze długo, ale Pawełek potrafił w końcu ją uspokoić ku wielkiemu zadowoleniu pani Rosburgowej.

— Twój mały przyjaciel odjechał, moja droga dziecino, ale pozostajemy my dwaj, ja i Pawełek. Będziemy się starali cię zabawić, abyś się nie nudziła i czuła się szczęśliwą — mówił pan Rosburg do swej pieszczoszki.

— Nigdy nudzić się nie będę przy tobie, tatusiu, przy mamusi i przy Pawełku, ale Jakóbka mi bardzo żal... I jemu też smutno będzie ze mną!

— Tak to już jest na Bożym świecie, moje dzieci; Bóg zsyła nam różne zmartwienia, żebyśmy się nazbyt nie przywiązywali do życia. Trzeba znosić cierpliwie co nam Bóg przeznacza, być miłosiernym dla ubogich, kochać Boga jako naszego Ojca Niebieskiego, a w każdym człowieku widzieć brata.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autora: [Sophie de Ségur](#) i tłumacza: [Natalia Dzierżkówna](#).*

Po latach wielu.

A teraz jeśli kto ciekawy dalszych losów osób, opisanych w tej książce mogę dodać tych słów kilka.

Pani Rosburgowa zamieszkała w wytwornym pałacyku, kupionym przez męża w sąsiedztwie pani Marji i obie panie widywały się codziennie jak również Stokrotka i Pawełek spotykali się z Kamilką, Madzią i Zosią na półdrogi, dzielącej obie posiadłości. W zimie wszyscy razem mieszkali w Paryżu.

Kamilka i Madzia były w dalszym ciągu zwane „przykładnemi dziewczątkami“. W kilka lat później obie wyszły zamąż i są bardzo szczęśliwe.

Zosia stała się zupełnie podobną do swych przyjaciółek, z któremi rozstała się mając lat dwadzieścia, gdyż zaślubiła Jana de Rugés, swego kochanego Janka.

Stokrotka nie chciała nigdy rozstać się z rodzicami, co zresztą nie było trudnem gdyż Pawełek został jej mężem i oboje starali się osładzać życie zacnych państwa Rosburgów i jak najwięcej czynić dobrego dokoła.

Leon szlachetny, pobłażliwy dla ludzi, odważny i nieustraszony był przeciwieństwem tego tchórzliwego, niechętnego i złośliwego chłopca, którego poznaliśmy podczas wakacji u pani Marjl. Dwadzieścia lat przebył w wojsku, poczem mianowany jenerałem, okryty orderami, podał się do dymisji i zamieszkał w sąsiedztwie swego przyjaciela, Pawła Aubert, którego kochał zawsze

serdecznie.

Jakób de Fraypi zachował swą głęboką życzliwość dla Pawła i Małgorzaty, (Stokrotką dawniej zwanej,) i corocznie spędzał z nimi wakacje. Był zawsze jednym z najpierwszych uczni i przodował wśród studentów prawa. Należał następnie do Rady Stanu, ożenił się wreszcie z siostrą Stokrotki, która przyszła na świat wkrótce po opisanych tu wakacjach w domu pani Marji. Dano jej imię Paulina na cześć Pawełka, który był jej chrzestnym ojcem. Paulinka, uderzająco podobna do starszej siostrzyczki, wyróżniała się niezmierną dobrocią, łagodnością, rozumem i pięknością. Oboje z Jakóbem stanowili dobraną parę, on bowiem miał zawsze umysł bystry, żywość wrodzoną przy wielkich zaletach rozumu i serca. Mieszkali wszyscy razem i nigdy zgoda rodzinna nie została niczem zakłócona.

Rodzice Jolanty, z resztkami posiadanej dawniej fortuny, wyjechali do Ameryki. Jolanta, nie otrzymawszy starannego wychowania, kapryśna, nie mająca zasad moralnych wstąpiła do jakiegoś podrzędnego teatrzyku nie miała powodzenia na scenie i skończyła życie w szpitalu. Ojciec, zatęskniony do ojczyzny i będąc w ostatecznej nędzy, powrócił do swego pierwotnego zajęcia i kucharzował potrawę w jakimś zakładzie dobroczynnym dla ubogich w Paryżu.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: [Sophie de Ségur](#) i tłumacza: [Natalia Dzierżkówna](#).*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Przygody Zosi i Wesołe wakacje

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Kejt
- Salicyna
- Alenutka
- Mudbringer
- Ankry
- PMG
- Joanna Le
- Wieralee
- Cafemoloko
- Himiltruda
- Bonvol
- Rocket000
- ChrisiPK
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

- Rei-artur
- Zanimum

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium